MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 34. WARSZAWA, 12 SIERPNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

„CIASNA BRAMA“

(ZWIERZENIA KONSERWATYSTY W 20-LECIE WOJNY ŚWIATOWEJ)

„Wchodźcie przez ciasną bramę! Albowiem szeroka brama i przestronna jest droga, która wiedzie na zatracenie, a wiele ich jest, którzy przez nią wchodzą.

Jakoż ciasna brama i wąska jest droga, która wiedzie do żywota, a mało ich jest, którzy ją znajdują...”

(Mat. 7, 13 — 14)

I

DWA — będzie — miesiące temu zamieścił „Kurjer Poznański” — jako artykuł wstępny — bezpretensjonalny mój, mocno zresztą (nie z mojej winy) spóźniony, artykuł wielkanocny p. t. „Dwie inteligencje”, który nie minął bez wrażenia.

I tak—mówili mi niektórzy moi przyjaciele Poznańczycy, — że im wcale przypadł do gustu; skądinąd jednak, z powodu niedosyć może „klarownego” ujęcia w nim myśli moich (publicysta nie może wszystkiego dokładnie odważyć i oszlifować), podległem „ekskomunice większej” ze strony pewnych kół ziemiańskich. Osądzono mnie jako „czarny charakter”, odmówiono mi wszelkiego zaufania, przypisano mi ewolucję tak gwałtowną od kolebki (ziemiańskiej) ku (inteligenckiej) trumnie, żeby mnie... rodzona matka nie poznała.

II

Raz więc jeszcze, po istnych rekolekcjach w klasztorze („sprawa publiczna, to sakrament”— mawiał Szujski) robię rachunek sumienia, tym razem *sine ira*, na temat różnic, jakie mnie dzielą od sfery, która niedawno była moją.

I oto do jakich dochodzę (socjalno-indywidualnych) rezultatów.

Wychowałem się w dawnej Austrji, w sferze „inteligenckiej”.

Tak! nie pomagał predykat feodalny: „właściciel dóbr” w państwie, gdzie funkcja np. profesora uniwersytetu uchodziła za „*infamierendes Gewerbe*”, gdzie np. Stanisław Tarnowski nie mógł otrzymać orderu „Złotego Runa”... z powodu pełnionego przez siebie zawodu.

To poczucie niższości, ten „*Inferioritätskomplex*”, odbiło się na mnie i na wielu moich towarzyszach w dniach wybuchu wojny: nie mogliśmy podzielać poglądu bliskiego nawet nieraz, krakowskiego naszego otoczenia, że sprzeniewierzenie się sprawie Austrji jest „dezercją”.

III

Ale tu dla nas weszła w grę antynomja pierwsza:

Byliśmy przeważnie katolikami i konserwatystami z krwi i kości, chociaż — z praktyki — niezawsze. Tradycja historyczno-kulturalna pchała nas wszakże w ramiona „Ententy” (Francja, Włochy...). Tym zaś, samorzutnym zresztą popędem dostawaliśmy się z „deszczu” austrjackiego („kapuśniaczka” *Fortwursteln*'u i wszelakiego oportunizmu) pod masońską „rynnę”. Aroganckich sztabowców austrjackich i nędznych wytwórców psychiki galicyjskiej wymienialiśmy na marniejszych jeszcze *arriviste*'ów paryskich z pod znaku „Złotego Cielca” i żałosnej „wdowy”. Nie wiedzieliśmy jednak zrazu o dobrodziejstwach nowego inwentarza, jak ich nie „realizuje” po dziś dzień powolniejsza jeszcze umysłowość wielu naszych rodaków.

IV

Teraz zaś, do tego wszystkiego, dołączyła się antynomja druga.

Powróciwszy do kraju z Zachodu — nie przez ducha przekory, ale w potrzebie rozsądnego hamulca — dążyliśmy, zgodnie z innymi, starającymi się przewidywać, do wytworzenia napowrót społecznej bazy konserwatywnej, tamy zaporu przeciwko mętnym falom, bijącym na Polskę ze Wschodu i Zachodu.

Trzeba jednak powiedzieć jasno i spokojnie, że wbrew ludziom przewidującym, co się stanie, a dziś już, po większej części, nieżyjącym, warstwa ziemiańska, na którą liczyliśmy najbardziej w tej robocie, nie wykazała naogół hartu, konsekwencji i jasności sądu, oscylowała niepoważnie „pomiędzy Strońskim a Piłsudskim" i — darząc nas zdawkowemi komplementami za naszą dobrą wolę i szlachetne intencje — poszła w znacznym odłamie na drogę konjunktury, najmniejszego oporu i doraźnych, choć złudnych korzyści.

Tak więc ta platforma, na której my, uważając się za prawych następców „starych Stańczyków", chcieliśmy oprzeć prawdziwą „sanację" narodu, okazała się za wąską, za kruchą; chcącym zachować czystość linji nie pozostało nic innego, jak iść naprzód, samemu, tą „ciasną bramą", którą szli niegdyś Popiel i Wielopolski, a pod koniec życia Tarnowski[1]).

V

Ale zaraz czekała nas antynomja trzecia:

Nie idąc za swoją warstwą, przeciwstawiając się jej bierności politycznej, zbierając za to niejedne cięgi od zapalczywszych po tamtej stronie, dalecy jednak byliśmy od wmieszania się w tłum „demokratów".

Krzywiąc się na tak częsty kwietyzm ideowy ziemiaństwa, nie myśleliśmy wszakże przenigdy ignorować wysokich wartości kulturalnych, tkwiących jeszcze w jego zanadrzu, a przeraźliwej nieraz akultury „nowych panów".

Daleki od nas był oczywista „pasibrzuch" — bo i tacy trafiają się niestety! podziśdzień w warstwie szlacheckiej — a bliski każdy wykwit kulturalny starego dworu, czy jest nim filozof poznański, czy Benedyktyn z Polesia, czy twardy żubr z kasztelu nad Sanem.

A jakżeż daleki — naodwrót — byłby od nas taki — dajmy na to — „chadek", co dwa miałby naczelne przykazania:

1) Kochaj Pana Boga Twojego!

2) Nienawidź hrabiego!

„Ciasna" zaiste była „brama" naszego żywota. Wąska jego ścieżka, wybredny eklektyzm: pomiędzy zakutym „junkrem" czy „burżujem" Vautel'owskiego typu, zmaterjalizowanym i chciwym, a demokratą, który inną drogą (ale również „szeroką") i z innem hasłem idzie do podobnego, co tamten, celu: na zew Mammona.

VI

Z przerażeniem patrzymy na otaczające nas widowisko:

Na płytkiem morzu ludzkich fal, spiętrzonych kryzysem, wśród burz: wojennej i rewolucyjnej, co pewien czas, z wież strażniczych intelektu, buchają krwawe płomienie reflektorów.

Raz woła do nas z wieży swojej Bierdiajew, zaklinając nas o „powrót do średniowiecza"; to znów, z alpejskiego podnóża, pełen polotu Gonzague de Reynold, wzywając do konsekwentniejszej postawy kontrrewolucyjnej, to z pod Zurychu, z nad granicy hitlerowskiej, błaga Foerster o etykę większą w czynach politycznych, z pod Wilna zaś, z nad granicy bolszewickiej, ostrzega Zdziechowski przed skutkami nierozważnych umizgów do Bolszewji.

Głuche milczenie odpowiada tym sygnałom.

Na głos mędrców prawdziwych potrząsa się w ich stronę cedułą giełdową, markując *hausse*'ę jako znak odsieczy i poprawy.

Nie lubię cytować mojego antagonisty „Boy"'a, ale prawdziwie djalog ten nieskładny przypomina mi jego cyniczne „słówko":

Prawi mu o ideałach,
Józio na to: „Co to wałach?"

VII

Wracam do punktu założenia, „osławionego" mego artykułu w „Kurjerze Poznańskim".

Fakta i symptomy:

1) Według prawdopobnej statystyki, w samem Poznańskiem rozkładowe „Wiadomości Literackie" pozyskały w ostatnich czasach 7.000 abonentów.

2) W krakowskim „I. K. C." (nie mówiąc o „Tajnym Detektywie" i mimo formalnego zakazu metropolity Sapiehy) współpracują nadal księża: i tak w numerze niedzielnym z 22 lipca — w bezpośredniem sąsiedztwie p. Hulki-Laskowskiego (!) ks. Stanisław Grabowski.

3) Żałosną przygodę z „dziennikiem katolickim" z roku pańskiego 1932-go mamy w pamięci (i „w kościach") jeszcze wszyscy.

Tak tedy wygląda wiązanka faktów z obozu kontrewolucji czy „reakcji katolickiej" *anno* 1934. Czy dziwić się wobec tego należy, że gorętsi z natury swojej jego działacze coraz bardziej mają wrażenie, iż są „kamieńmi rzuconemi na szaniec", który to „szaniec" przypomina im jednak czasem „Kniazia Potemkina" przed upadkiem?

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

---

[1]) Wysoce charakterystyczne dla tego — po wszystkie czasy — „izolowania" prawdziwych konserwatystów społecznych i narodowych, nie takich zaś, których „konserwatyzm jest tylko konserwatyzmem własnych majątków" (Popiel) są świetne, prawdziwie już klasyczne, uwagi (zapomnianego także przez swoją sferę?) Tarnowskiego o Popielu (Kraków, „Spółka wydawnicza", 1892).

Ten typ ziemiański jak z „Dworzanina" (poza „Pamiętnikami" i „Pismami" patrz znakomitą charakterystykę Tarnowskiego, str. 33—36!), Popiel, konserwatysta-monarchista, ale w stylu Skargi („Nie takiej monarchji chciał „jak w Turczech albo w Moskwie", a despotyzmu u góry nie cierpiał, zarówno jak u dołu"), katolik sztandarowy, ale zarazem a — czy antysemita („Główną jego myślą" (przedśmiertną) — pisze Tarnowski — „było zabezpieczenie kraju środkami, nie gwałtownemi i krzywdzącemi, ale uczciwemi, organicznemi i skutecznemi od przewagi żydów. To miał on teraz za naszą s p r a w ę g ł ó w n ą, za nasz p i e r w s z y w z g l ę d e m p r z y s z ł o ś c i o b o w i ą z e k"), — Popiel był „białym krukiem" pomiędzy szlacheckiemi wronami („Charakteru, dobrej wiary i woli nie podejrzewał nikt, ale nikt też, prócz bliższego grona przyjaciół, nie ufał"). Prawda, że Popiel „miał tę... naturę, że, kiedy uznał za swój obowiązek powiedzieć coś lub zrobić, widział tylko ten obowiązek, a mniej zważał na chwilę lub na sposób jego spełnienia". I miał przedewszystkiem temperament, nie dogadzający „pasywistom" ziemiańskim.

SPOLSZCZYĆ PRASĘ GALICYJSKĄ!

POZWALAM sobie poruszyć dziś temat, którego główną treścią jest dziedzina zasadniczo mi obca, mianowicie dziedzina języka. Ale czasami tak bywa, że nawet laika pewne rzeczy tak dalece uderzą, iż, zirytowany, czuje się zmuszony do interwenjowania.

Tak się złożyło, że od pewnego czasu czytam bardzo uważnie polską prasę prowincjonalną. Codzień mam przed oczyma obraz całej Polski, jako terenu, który posiada nie jedno tylko centralne, lecz mnóstwo lokalnych ognisk myśli politycznej, twórczości publicystycznej, oraz zwykłej służby popularno-informacyjnej. I codzień szewska pasja mnie ogarnia na widok tego, że istnieje w tym obrazie strefa, odznaczająca się pewnego rodzaju separatyzmem.

Gdy porównać prasę galicyjską (nie mówię małopolską; małopolski Lublin, Kielce, Częstochowa w tym separatyzmie nie biorą udziału) do prasy innych dzielnic, dostrzega się w niej pewne właściwości, które nadają jej cechę odrębną.

Po pierwsze — ma ona zwyczaj (nigdzie w Polsce pozatem nieznany) podawania fałszywej daty. Gdy numer pisma warszawskiego, poznańskiego, wileńskiego, toruńskiego, lubelskiego czy innego ukazał się we wtorek — to jest na nim umieszczona data wtorkowa. Jeżeli zdarza się od tej zasady odchylenie, to tylko u tygodników (numer, noszący datę niedzielną, ukazuje się gdzieś w piątek) oraz u niektórych dzienników porannych, które drukują się przed północą, lub nawet gdzieś o ósmej wieczorem, lecz ukazują się w handlu dopiero o świcie — i noszą datę poranka. — Dzienniki galicyjskie noszą z reguły datę co najmniej o 24 godziny późniejszą od prawdziwej: numer, który się ukazuje we wtorek (albo nawet drukuje się w poniedziałek wieczorem) nosi datę środową. Ten trącący żydowszczyzną rys nierzetelności i blagi (udawanie, że się dostarcza — np. na zapadłej prowincji — numer najświeższy, choć to numer z dnia wczorajszego) jest cechą, która prasę b. zaboru austrjackiego w sposób charakterystyczny od reszty prasy polskiej odróżnia. Po wtóre—rzecz o wiele ważniejsza — cała prasa galicyjska posługuje sie odmiennym od ogólnopolskiego językiem.

Nie jest to wcale przesada, że istnieje osobny język galicyjski. Wiele nawet o nim w Polsce pisano, — między innymi Dmowski w „Świecie powojennym i Polsce". Język galicyjski — to język potoczny galicyjskiej inteligencji, oraz język biurowy galicyjskich urzędów (z których zresztą przeniknął po wojnie w dużym stopniu i do urzędów państwowych w innych dzielnicach, gdzie wszędzie urzędnicy ze służby austrjackiej stali się podstawą kadr urzędniczych). Pierwszą przyczyną powstania języka galicyjskiego było zachwaszczenie miejscowej mowy potocznej germanizmami. Galicja była pod zaborem wyjątkowo długo: lwia jej część, tak samo, jak większa część Pomorza, Inflanty i ziemia Mohylowska na Białejrusi, dostała się pod zabór już w pierwszym rozbiorze. Nie przeżyła ona wraz z resztą (poza północnem Pomorzem, Inflantami i Mohylowszczyzną) ziem polskich renesansu epoki stanisławowskiej, nie przeżyła wraz z tworzącemi Księstwo Warszawskie późniejszem Królestwem, Poznańskiem i południowem Pomorzem bujnego życia epoki napoleońskiej, nie przeżyła wraz z Królestwem epoki 1815 — 1831 roku, wraz z Litwą i Wołyniem epoki Czartoryskiego, epoki uniwersytetu w Wilnie, liceum w Krzemieńcu, filaretów i Mickiewicza, wraz z Poznańskiem epoki rozkwitu w okresie Libelta i Marcinkowskiego. Jeden tylko Kraków uczestniczył w części tych przeżyć, ale Kraków był w całości tej dzielnicy kroplą w morzu, to też szybko został przez jej życie wchłonięty. Reszta zaś Galicji pozostawała — od roku 1772 do roku 1866, a więc blisko przez lat sto, — pod dławiącym wszystko, niemieckim uciskiem, a i po roku 1866 niezupełnie się od przewagi niemczyzny wyzwoliła. Jeżeli zachwaściła się rusycyzmami mowa potoczna wilnian i germanizmami mowa potoczna poznańczyków — to tembardziej trudno się dziwić, że nie zdołała obronić czystości swej mowy Galicja, która była do walki kulturalnej o wiele gorzej od tamtych dzielnic uzbrojona, bo dostała się pod zabór przed okresem kulturalnego renesansu z końca XVIII i początku XIX wieku.

Drugą przyczyną powstania języka galicyjskiego była działalność językotwórcza biurokracji galicyjskiej niemieckiego i czeskiego pochodzenia.— Gdy wprowadzono w życiu urzędowem w Galicji po roku 1866 język urzędowy polski, zadanie spolszczenia urzędów spadło na barki warstwy urzędniczej, która w większości bynajmniej się nie składała z Polaków. Ludzie ci po pierwsze nie okazywali dbałości o czystość języka polskiego, a po wtóre nie bardzo się go mieli gdzie poprawnie nauczyć. Większa część miejscowej warstwy inteligencji polskiej mówiła po polsku źle, a języka urzędowego polskiego wogóle na miejscu nie było, gdyż nie było instytucyj, w którychby on mógł być używany. Nie zadano sobie trudu poszukać dobrych wzorów językowych za kordonem granicznym Królestwa, lecz z biurokratyczną bezdusznością i obojętnością sklecono z polskiego materjału językowego tandetny żargon, który był żywcem uskutecznioną kopją niemczyzny. Zachowywano niemiecki szyk wyrazów (niemiecką składnię) — oraz tworzono nowe wyrazy, będące ścisłemi odpowiednikami wyrazów niemieckich. Chciano przemianować instytucję, która się nazywała — przypuśćmy — *Commission für Quotenvertheilung* — i wymyślano nazwę „komisja dla podziału kwot", chociaż każdego, kto ma choć trochę polskiego poczucia językowego razi ten germanizm nieznośnie. (Dla ewentualnych Czytelników, którzy tego polskiego poczucia językowego nie mają, wyjaśniam, że po polsku brzmiałoby to: „komisja podziału kwot"). Potrzebowano terminu polskiego na miejsce wyrazu „*Vertreter*" i sięgano po wyraz „zastępca", choć wyraz ten odpowiada raczej wyrazowi „*Stellvertreter*", podczas gdy „*Vertreter*" — nazywa się polsku „przedstawiciel" lub „reprezentant" („zastępca dyrektora" — ale tylko „przedstawiciel", a nigdy „zastępca" dyrekcji). Potrze-

bowano odpowiednika wyrazu *„ausschliessen"* — i sklecono dziwaczny neologizm „wykluczać" (od „klucz", t. j. *„Schlüssel"*), choć istnieje dawny, dobry polski wyraz „wyłączać". I tak dalej. — Dokładnie tym samym sposobem, to znaczy sposobem kopjowania każdego nieznanego mowie potocznej wyrazu, czy zwrotu, żywcem z niemczyzny, powstał nowoczesny język czeski. Tylko że język czeski inaczej powstać nie mógł: ani z żywej czeskiej mowy ludowej, ani z języka z czasów z przed bitwy pod Białą Górą nie można było zaczerpnąć określeń, potrzebnych w nowoczesnem sądownictwie czy w administracji. Ale nowoczesny język urzędowy polski przecież istniał— i był w użyciu władz państwowych w Królestwie aż do okresu, który się zaczął w parę lat po powstaniu styczniowem, a w rozwiniętem życiu gospodarczem Królestwa (administracji przemysłowej i t. p.) utrzymał się aż po dni dzisiejsze. — Możnaby się dziwić, jak się to stało, że mimo napływu królewiaków do Galicji, nie przeniknął tam wraz z nimi poprawny, polski język urzędowy. Ale to wcale nie jest tak dziwne, jak się wydaje napozór. Moje własne doświadczenie ze służby państwowej, bynajmniej nie austrjackiej, lecz polskiej i to w dwanaście lat po odbudowaniu państwa, jest najlepszą ilustracją, tego jaką drogą dokonywał się proces asymilacji językowej królewiaków w Galicji. W latach 1929 i 1930 miałem w ministerstwie spraw spraw zagranicznych szefa, pochodzącego ze służby austrjackiej, zresztą człowieka o dużej kulturze i inteligencji i z pochodzenia polskiego szlachcica. Przerabiał on każdy opracowany przezemnie tekst, usuwając część użytych przezemnie zwrotów, prawidłowo polskich i zastępując je germanizmami. Np. jeżeli napisałem „odpowiadając na Panów list"... to zamieniał mi to na zwrot „w odpowiedzi na Panów list" (*„in Bezug auf Ihren Brief"*, albo *„in Beantwortung Ihren Briefes"*). Zwroty te wprawdzie wydawały mi się wówczas dziwolągami, ale nie wiedziałem jeszcze, że to są germanizmy, nie miałem więc przekonywającego argumentu na obronę swojego sposobu pisania. A skoro decydowały nie argumenty, lecz samo tylko językowe wyczucie — gust szefa, rzecz prosta, zwyciężył. Aby nie narażać się na ciągłe przeróbki swych opracowań, zacząłem już zgóry umieszczać w nich zwroty, o których wiedziałem, że i tak się w nich znajdą. Początkowo raziły mnie one, lecz z czasem oswoiłem się z niemi i weszły mi w krew. Używałem ich niekiedy i później, gdy już miałem innych szefów — i wyzbyłem się ich dopiero wówczas, gdy zwrócono mi uwagę, że to germanizmy. — Tak było w Warszawie, w niepodległej Polsce. Cóż tu się dziwić „koncypjentowi" w Nowym Sączu czy Myślenicach, w jakimś roku 1880 czy 1890, mającemu szefa Niemca, lub Czecha, że mu się język zepsuł! — Ten czeską metodą utworzony, galicyjski język urzędowy tak się już w poczuciu językowem Polaków galicyjskich zakorzenił, że prawidłowa polszczyzna już wielu z nich razi, jako coś obcego. Na charakterystyczny tego przykład zwróciła niedawno uwagę „Gazeta Warszawska": w krakowskim „Ilustr. Kurjerze Codziennym" ukazał się list jakiegoś czytelnika — prawnika, proponującego przerobienie „obrzydliwego stylu" jakiejś świeżo ogłoszonej ustawy na styl rzekomo ładniejszy. List ten redakcja „I. K. C." umieściła bez żadnego komentarza, solidaryzując się najwidoczniej z zawartemi w nim wnioskami. Otóż ustawa była pisana dobrą, prawidłową polszczyzną, a proponowana jej przeróbka była stekiem najjaskrawszych, biurokratyczno-galicyjskich germanizmów.

Trzecią przyczyną powstania osobnego „języka galicyjskiego" są wpływy żydowskie. W żadnej dzielnicy Polski żydzi nie przeniknęli tak głęboko w życie społeczeństwa polskiego, jak w Galicji. W zaborze pruskim i na kresach wschodnich żydów-inteligentów, posługujących się językiem polskim, nie było przed wojną wogóle, a w Królestwie inteligent-żyd był względną rzadkością. W Galicji żydzi-adwokaci, żydzi-dziennikarze, nawet żydzi-urzędnicy, profesorowie i t. d. byli zjawiskiem masowem. Mówili oni po polsku źle, a że Polacy często się z nimi stykali (np. korzystali z usług adwokatów-żydów, którzy swoją kiepską polszczyzną wypisywali im różne dokumenty), więc ich sposób mówienia i pisania stopniowo się Polakom udzielał. Rzeczą niemal powszechną, zarówno w prasie galicyjskiej, jak w sposobie mówienia i pisania szerokich kół galicyjskiej inteligencji jest obrzydliwy, po żydowsku pretensjonalny zwrot, który St. Pieńkowski określił terminem *„ablativus iudaicus"*: „ona jest piękną", „jestem zmęczonym", zamiast „ona jest piękna", „jestem zmęczony" i t. p.

W sumie — wytworzył się i skrystalizował żargon, którego osnowa jest polska, lecz którego duch jest swoisty, silnie podszyty duchem języka niemieckiego i zlekka zaprawiony żydowszczyzną. Nie chciałbym rodaków z b. zaboru austrjackiego urażać tem porównaniem — ale tak jest naprawdę, że stosunek języka galicyjskiego do języka polskiego jest analogiczny do stosunku, jaki zachodzi między żargonem żydowskim, a językiem niemieckim. Żargon żydowski (przynajmniej niektóre jego djalekty, np. żargon prasy żydowsko-amerykańskiej) jest z niemczyzną napozór niemal identyczny, ale jego duch jest duchowi języka niemieckiego najzupełniej obcy i słuchanie tego żargonu jest dla Niemca poprostu nieznośne. Dystans między językiem galicyjskim a polszczyzną jest dużo mniejszy, niż między niemczyzną a *„jiddisz"*, ale stosunek między niemi jest analogiczny — i słuchanie galicyjszczyzny jest tak samo dla Polaka z innych dzielnic nieznośne.

Już na pierwszy rzut oka uderzają Polaka z innych dzielnic dwie jaskrawe odrębności mowy galicyjskiej: po pierwsze *„ablativus iudaicus"*, powtóre pisanie litery „z" w wielu wyrazach romańskiego pochodzenia, gdzie się po polsku, zgodnie zresztą z łacińskim czy francuskim pierwowzorem, pisze „s". A więc: „konzul", „konzumować", „senzacja", „intenzywny", „ofenzywa". To, według ogólno-austrjackiej recepty na tworzenie „nowych" terminów w językach „krajowych", zapisano fonetycznie wyrazy niemieckie („Konsul" i t. d.), w których romańskie „s" wymawia się jak „z". Tak samo i po czesku pisze się „konzul", a jeśli się nie mylę, to i po słowacku, słoweńsku i t. d. Twórcom tej pseudo-spolszczonej, austrjackiej pisowni nie przyszło jakoś na myśl, że możnaby wyrazy łacińskie czy francuskie zaczerpnąć wprost ze źródła, z pominięciem wypaczającego ich właściwą wymowę pośrednictwa niemieckiego

i że prawidłowa polszczyzna, zarówno dawna, jak nowoczesna, tak właśnie czyni [1]).

Gdy się językowi galicyjskiemu (w mowie i w piśmie) przyjrzeć bliżej — znajduje się podobnych odrębności ilość wprost olbrzymią. Składnia taka jak np. „jak dalece jest ta sprawa konieczna" (*„wie sehr ist diese Sache nötig"*, zamiast „jak dalece konieczna jest ta sprawa"). Zwroty, jak „bank dla handlu i przemysłu" (*„Bank für handel und Industrie"*, „bank handlowo-przemysłowy"), „służyć przy wojsku" (*„bei Militär"*, zamiast „w wojsku") „jestem ciekaw na to" (*„Ich bin darauf neugierig"*, „jestem ciekaw tego"), szukać za czemś" (*„nach etwas zu suchen"*, „szukać czegoś") określenia jak „szemat" (*„Schema"*, wymawiane po niemiecku jak „szema"; po polsku „schemat", wymawiany jak „schab", lub „schody"), „jęz. macierzysty" (*„Muttersprache"*, „ojczysty") zapożyczenia cudzoziemskie, poprawnej polszczyźnie nieznane, jak „kasarnia" (*„Kaserne"*, „koszary"), „atentat„ (*„Attentat"*, zamach) „asenterunek" (*„Assentierung"*, „pobór do wojska"), zwroty grzecznościowe jak „całuję rączki" (wiedeńskie *„küss'die Hand")*, albo jako nagłówek listu: „Łaskawa Pani!" (*„Gnädige Frau"*, zamiast „Szanowna Pani!" lub t. p.), brak wyczucia ducha języka polskiego przy używaniu niektórych, zasadniczo prawidłowych wyrażeń, np. nadmierne stosowanie wyrazu „przyjemny" (*„angenehm"*), tam, gdzie można by powiedzieć „miły", albo nadużywanie wyrazu „słodki" (*„süsses Kind"*, *„süsses Mädel")*, w którego używaniu przenośnem język polski jest od języka niemieckiego znacznie powściągliwszy — to są rzeczy, które się w mowie galicyjskiej spotyka co krok. Nawet słynny, będący przedmiotem tylu żartów „pojedyńczy kapelusz" (nie mający nic wspólnego z kapeluszem podwójnym, czy jak tjara papieska potrójnym, lecz poprostu „skromny", „zwyczajny", *„einfach"*) nie jest wcale wymysłem warszawskich, wyśmiewających Galicję dowcipnisiów, lecz jest określeniem rzeczywiście i bez odcienia żartobliwego używanem: na własne uszy je we Lwowie słyszałem. Do tego wszystkiego, — do tych wyrazów, określeń i zwrotów, zaczerpniętych z niemczyzny. a liczonych na setki, — dodać trzeba rozpowszechnione w prasie i w stylu urzędowym wpływy żydowskie, pewien tonik przesady (superlatywy w stylu reklamy kinowej), to znów typowo żydowskie, wynikające z niedostatecznej znajomości języka błędy (np. tak rozpowszechnione „wykonywuję", będące połączeniem prawidłowych „wykonywam" i „wykonuję" albo „rozumię" zamiast „rozumiem").

Tym właśnie okropnym żargonem nietylko mówi szeroki ogół galicyjskiej inteligencji, ale posługuje się, bez cienia ambicji pozbycia się go, cała mniej więcej galicyjska prasa.

Jest już doprawdy ostatni czas przedsięwziąć akcję, stawiającą sobie za cel usunięcie tego żargonu. Wiele mogłoby tu zdziałać szkolnictwo, okólniki urzędowe, nakazujące przestrzeganie czystości językowej w pracy urzędów i t. d. Ale to wszystko nie osiągnie celu — jeśli nie zrodzi się prąd w kierunku nauczenia się poprawnej polszczyzny w samem społeczeństwie. A naturalną organizatorką opinji społeczeństwa jest prasa. Dopóki prasa galicyjska nie nauczy się polskiego języka — dopóty nie nauczy się go i szeroki ogół.

Jak ktoś bardzo chce, to nauczy się nawet języka chińskiego. Czyż to tak trudne dla Polaków zapoznać się z językiem polskim? Pewne rzeczy możnaby osiągnąć drogą zarządzeń całkiem mechanicznych: możnaby nakazać korektorom, by usuwali „z" z wyrazów w rodzaju „konzul", oraz tępili *„ablativus iudaicus"*. Toby już była bardzo duża zmiana na lepsze. A stopniowo możnaby osiągnąć i wyrugowanie tych „zastępców firm" i służb „przy wojsku".

Byle tylko chcieć... Ale czy oni zechcą? Od szesnastu lat — odkąd Polska powstała, — mówi się w Polsce o potrzebie wyrugowania języka galicyjskiego — i wszystko napróżno. Jest to coś zadziwiającego, jak dalece obojętna jest ta dzielnica wobec postulatu powrotu do pierwotnej czystości ojczystego języka.

W Galicji żartuje się nieraz z mowy Poznańczyków. Ale zapomina się o tem, że ta zła mowa poznańska — to jest mowa średniej warstwy społecznej, tej, która w Galicji jest żydowska. Elita intelektualna Wielkopolski mówi po polsku całkiem dobrze, a ma ambicję mówić coraz lepiej. A zresztą i poznański sklepikarz mówi po polsku coraz lepiej, stara się w dziedzinie językowej robić postępy — i rzeczywiście je robi [2]). Tak samo i w Wilnie, — duża część ludności mówi językiem pełnym rusycyzmów. Ale w kołach wybitniejszej, wyższej inteligencji mówi się tam językiem iście weyssenhoffowskim. W zaborze austrjackim, nieraz się zdarza, że i wyższa inteligencja mówi po polsku źle.

Gdy się chce zwiększyć poprawność swej mowy — to jest na to tylko jeden sposób: trzeba nad sobą czuwać i wciąż swój sposób mówienia kontrolować. Pamiętam, gdy w roku szkolnym 1917/18 uczęszczałem do polskiego gimnazjum w Petersburgu, ileśmy wkładali wysiłków w to, by dobrze mówić po polsku! Czystość naszej mowy nie była bynajmniej zagrożona, — przeważali śród nas warszawiacy, — tworzyliśmy zwarte środowisko, na wpływy zewnętrzne odporne. A jednak — uchodziło między nami za nietakt, usłyszawszy z ust kolegi czy znajomego błąd ję-

---

[1]) Nie upieram się zresztą przy tem, by w Galicji nietylko pisano, lecz i wymawiano: „konsul". Rdzenna Małopolska (to znaczy Kraków, Tarnów, Saudomierz, Lublin, Kielce, — lecz nie Lwów) tak samo zresztą jak i Wielkopolska, mają ogólną tendencję do wymawiania spółgłosek w sposób dźwięczny. Wymawia się tam „chłob umarł" „tagem się zmęczył" „albo „jezdeśmy", choć się pisze „chłop umarł" „takem się zmęczył" i „jesteśmy". Wręcz odwrotną tendencję ma Mazowsze: w Warszawie mówi się „wós i koń", „rók jelenia", „pręciutko", choć się pisze „wóz i koń", „róg jelenia", „prędziutko". Są to prowincjonalizmy pochodzenia rodzimego, których tępić niema potrzeby. Być może, że i przed rozbiorami mówiło się w Krakowie i Tarnowie „konzul", choćby się pisało inaczej. Ale uwidocznienie tej wymowy w pisowni, oraz rozszerzenie się jej na Lwów, nie ma nic wspólnego z rodzimą, małopolską tendencją do dźwięczności spółgłosek. Jest to wpływ obcy, — wpływ niemczyzny.

[2]) Co tu mówić o Poznańskiem! Znam polskie dwory ziemiańskie pod Malborkiem, zamieszkane przez tubylczą szlachtę polską, siedzącą tam od czasów przedrozbiorowych. Ziemia Malborska, to są kresy Pomorza, — zagarnięte przez Prusy w pierwszym rozbiorze i trzymane przez nie po dziś dzień. A jednak daj Boże, aby wszyscy ziemianie z pod Krakowa, czytelnicy „Czasu", mówili po polsku choćby w połowie tak dobrze, jak ziemianie z pod Malborka.

zykowy, natychmiast mu nie przerwać i nie zwrócić mu na ten błąd uwagi. Tym sposobem kontrolowaliśmy się wzajemnie i rzeczywiście mówiliśmy po polsku bardzo dobrze[3]). Pamiętam, jak strasznie się czułem skompromitowany, gdy mi się raz zdarzyło popełnić rusycyzm w wypracowaniu pisemnem (byłem wówczas w piątej klasie), co mi profesor-polonista publicznie wytknął!

To nic trudnego — poprawić mowę potoczną szerokiego ogółu. Poprawia swą mowę Poznań i Wilno i Pomorze i Śląsk, — dlaczegóż jedna Galicja ma tego nie potrafić i ma przy swych błędach pozostawać?

Tem łatwiej jest zorganizować dbałość o poprawność języka prasy.

Ostatni czas — po szesnastu latach niepodległości — jest o tem wreszcie pomyśleć.

JĘDRZEJ GIERTYCH

[3]) Dbaliśmy nietylko o czystość języka — ale i o polskość zwyczajów i obyczajów. Np. podając sobie ręce, ostentacyjnie czyniliśmy to w rękawiczce — bo zdejmowanie rękawiczki przed uściśnięciem komuś dłoni, to zwyczaj rosyjski.

POLSKIE DĄŻENIA MORSKIE ZA JAGIELLONÓW

(Dokończenie)

OLBRZYMIE zyski z natury, nietylko politycznej, lecz również ekonomicznej, były owocem odzyskania Pomorza i złamania zakonu Teutońskiego. Przedewszystkiem Polska stanęła pewną nogą nad Bałtykiem, wypierając Niemców z ich dominującego stanowiska. Ponieważ jednocześnie upadała już potęga Hanzy, przeto wpływy niemieckie doznały poważnego uszczerbku. Państwa skandynawskie po staremu toczył rak niezgody wewnętrznej, a przodująca między niemi Danja wytężała wszystkie swe siły dla utrzymania w rozpadającym się związku skandynawskim tego stanowiska, jakie jej dała królowa Małgorzata, twórczyni unji Kalmarskiej. Król Kazimierz nie miał zatem poważnych współzawodników na Bałtyku, co było wielkim sukcesem politycznym. Wślad za nim szedł jeszcze większy ekonomiczny. Olbrzymi kraj rolniczy, jakim była monarhcja Jagiellonów, miał do zbycia przedewszystkiem produkty rolnicze, następnie kopaliny, a wreszcie wytwórczość i surowiec leśny. Masy zbóż z całego dorzecza Wisły, mianowicie z ziem małopolskich i ruskich Dunajcem, Sanem, Pilicą i Bugiem, z Mazowsza Narwią, a z krain wielkpolskich szlakiem goplańskim płynęły do Gdańska. Wślad za tem zbożem ciągnęły kopaliny olkuskie: cyna, miedź, ołów i żelazo. Spławiano również drzewo opałowe i budulcowe, dostarczane w nieprzebranych ilościach przez lasy mazowieckie i puszcze podkarpackie. Szły z niemi w parze produkty gospodarki leśnej, jak maź, smoła, popiół, miód i wosk oraz futra. Handel był nader ożywiony, w szczególności ceniono polskie zboża i drzewo. Znajdowały one zawsze chętnych i licznych nabywców w Europie Zachodniej, w której, dzięki warunkom gleby tudzież nieustannym wojnom, jak ciągły zamęt w Niemczech, wojna stuletnia w Anglji i Francji, zmniejszał się ustawicznie stan pól uprawnych i ginęły lasy. Jednocześnie na półwyspie Pirenejskim wyzwalające się z ucisku muzułmańskiego narody chrześcijańskie rozpoczęły okres „wielkich odkryć geograficznych" i stale wzrastało zapotrzebowanie na budulec okrętowy. Polskie więc zboże karmiło państwa zachodnie, a polskie sosny szły na okręty hiszpańskie i portugalskie. Do dnia dzisiejszego zachowało się z owych czasów określenie w terminologji morskiej u Francuzów, Hiszpanów, Portugalczyków i Włochów masztu „polskiego", t. j. masztu z jednej sztuki drzewa, bez masztu gniezdnego. Ruch na Bałtyku zapanował bardzo ożywiony. Dość powiedzieć, że na początku XVI-go stulecia na jeden statek holenderski (a Holendrzy mieli wprost monopol wówczas na handel zamorski), idący na oceany Atlantycki lub Indyjski, wychodziło sto statków holenderskich, udających się na Bałtyk, prawie wyłącznie do Gdańska. Obroty polskie z Zachodem wzięli w swe ręce kupcy gdańscy, bądź skupując w porcie gdańskim dostarczane z całej Polski produkty, bądź jeżdżąc po całej monarchji Jagiellonów i zakupując przedmioty polskiego wywozu na miejscu. Dodać należy, że kupcy gdańscy nie bywali armatorami i rzadko który z nich wysyłał towary polskie własnym statkiem na Zachód, a zadowalał się przeważnie rolą pośrednika, dostarczającego tych towarów kupcom holenderskim.

Zrozumienie wagi dostępu do morza czyniło w Polsce postępy bardzo szybkie, rozumiało to zarówno ziemiańskie rycerstwo, które było prawie wyłącznym dostawcą przedmiotów gospodarki rolnej i leśnej, jak i miasta, które sprowadzały z Zachodu przedmioty sztuki i zbytku, aby odprzedać je rycerzom. To zainteresowanie się stanu rycerskiego sprawami morsko-handlowemi, napędzającemi mu olbrzymie zyski z pola i lasu, wyraziło się dążeniem do ekspansji na Wschód celem owładnięcia jaknajwiększemi obszarami urodzajnego czarnoziemu ruskiego, który wzmagał ilość dostaw rolnych do Gdańska. Kupiectwo, w szczególności bogaci kupcy krakowscy, jak Morsztynowie i Bonerowie, zaczęło się interesować zagadnieniem morskiem głębiej. Nie kontentowali się oni dostawami i odbiorami towarów tylko z Gdańska, t. j. portu załadowczego, lecz przystąpili na początku XVI-go stulecia do wzięcia w swe ręce dostawy towarów do wyładowczych portów holenderskich. W ślady kupców krakowskich poszli biskupi krakowscy, mający wielkie obszary w Zachodniej Małopolsce, jak księstwo Siewierskie. W ten sposób polskie zboże i polskie drzewo oraz inne produkty zaczęły się pojawiać na Zachodzie Europy na polskich statkach. Mówiąc językiem dzisiejszym, Pol-

ska na początku XVI-go wieku zaczęła robić pierwsze próby z handlem morskim *„cif"*, t. j. do portu wyładowczego, zamiast uprawianego dotychczas przez gdańszczan handlu *„fob"*, t. j. do portu załadowczego. Były to pierwsze kroki w dziedzinie eksploatacji morza pod względem żeglugowym, prowadzące do stworzenia własnej marynarki handlowej.

To zainteresowanie się społeczeństwa polskiego zagadnieniem morskiem, a właściwie bałtyckiem, bo morze Czarne, do którego dochodziła Polska za Kazimierza IV, stało się od upadku Konstantynopola w 1453 r. jeziorem zamkniętem przez turecki Bosfor i Dardanele, wzrastało systematycznie za rządów następców Jagiellończyka. Dodać jednak należy, że zainteresowanie się społeczeństwa polskiego dostępem do Bałtyku, które w szczególności odczuwała Wielkopolska, nie szło w parze naogół z polityką, prowadzoną przez synów Kazimierza IV, którzy uprawiali głównie politykę dynastyczną, szukając nowych ziem dla swojej rodziny, jak Jan Olbracht w wyprawie Bukowińskiej 1497 r., i walcząc z napierającą coraz silniej na Litwę nawałą moskiewską, jak Aleksander i częściowo Zygmunt I Stary. Królowie z dynastji jagiellońskiej nie czuli się zresztą zbyt pewnie na krakowskim tronie, mając zwykle przy każdym obiorze kontr-kandydatów w postaci Piastów mazowieckich, ku którym po staremu lgnęły serca polskie. Jagiellonowie uzyskiwanie korony musieli okupywać systematycznie dawaniem coraz to nowych przywilejów, bądź dla możnowładców, bądź dla ogółu rycerskiego, i nie zawsze mieli dostateczny autorytet w polskiej połowie państwa. Ciążyli oni naturalnie ku rodzimej Litwie i mimowoli, a często celowo, jak Aleksander Jagiellończyk, zawracali Polskę z jej historycznej drogi ku Zachodowi, wciągając ją na Wschód.

Zaczął nawracać ku polityce zachodniej Zygmunt Stary (1506 — 1548). Okazję nastręczył mu wielki mistrz krzyżacki, Albrecht Hohenzollern, krewny margrabiego-elektora brandenburskiego, t.j. niemieckiego sąsiada Pomorza nadwiślańskiego ze strony zachodniej. Krzyżacy w owym czasie zaczęli gorączkowo poszukiwać pomocy w cesarstwie niemieckiem, między książętami Rzeszy, i osadzali na stolcu mistrzowym dynastów germańskich. Wspomniany Albrecht Hohenzollern marzył o odrodzeniu zakonu i dążył, po pierwsze, do unieważnienia traktatu Toruńskiego, nakładającego nań obowiązki lenne względem korony polskiej, a po drugie, do odzyskania dla Zakonu zwróconych Polsce Prus Królewskich. Pomimo uzyskanego sukursu ze strony króla zjednoczonych państw skandynawskich, Chrystjana II (1513 — 1523) wspomagającego go bronią i żołnierzem zaciężnym, pomimo dywersji ze strony wiecznie głodnej na ziemie litewskie Moskwy i knowań cesarza niemieckiego Maksymiljana I, Krzyżacy ponieśli klęskę w 3-letniej wojnie (1519 — 21 r.) i Albrecht został zmuszony do posłuszeństwa. W wojnie tej oddał Polsce wielkie usługi Gdańsk, wystawiając liczną flotę, która blokowała porty krzyżackie. Po działaniach wojennych nastąpiły przewlekłe rokowania polityczne, które doprowadziły do pokoju Krakowskiego w 1525 r. Ziemie zakonu Teutońskiego zostały przekształcone na lenne Polsce księstwo Prus Książecych z dziedzicznym księciem z rodu Hohenzollernów. Pierwszym takim księciem został b. wielki mistrz Albrecht Hohenzollern, który przyjął wyznanie luterańskie i sekularyzował zakon. Pokój ten stanowi jeden z zasadniczych błędów, jakie popełniła dynastja jagiellońska w stosunku do Polski, bo pozwoliła na utworzenie niemieckiego państewka z panującą religją, która była obca Polsce, i z dynastją tej samej krwi, co sąsiadujący z drugiej strony Prus Królewskich margrabiowie brandenburscy. Było jasne, że elektor brandenburski będzie dążył wytrwale do połączenia swego margrabstwa z ziemią pruską. Przewidywali to dostojnicy polscy, jak prymas Łaski i biskup Hozjusz oraz większość panów wielkopolskich, lecz przeważyła dynastyczna polityka Zygmunta Starego, który był rodzonym wujem Albrechta. Politykę królewską poparli antagoniści wielkopolan, możnowładcy małopolscy z biskupem Tomickim na czele.

Niezależnie od sekularyzacji Prus, zwracał Zygmunt Stary dość uwagi na zagadnienia pomorskie. Bywał on w Gdańsku, uśmierzył tam krwawe rozruchy gminu, wprowadzając 8.000 żołnierza polskiego do miasta, i pierwszy z monarchów polskich odbył uroczystą przejażdżkę po Bałtyku, zaznaczając, że, jako król polski, jest panem na tem morzu. Z książętami nadodrzańskimi, swymi krewnymi, utrzymywał stale przyjazne stosunki, nie zrywając węzłów, zadzierzgniętych przez Kazimierza Jagiellończyka. To też w skład oddziałów polskich, wprowadzonych do Gdańska celem stłumienia rozruchów, które miały charakter religijno - społeczny, wchodził kontyngent wojskowy Barnima X-go, księcia szczecińskiego.

Najlepiej zrozumiał zagadnienie bałtyckie i najtrafniej dążył do jego rozwiązania ostatni Jagiellończyk na tronie, spadkobierca i syn Zygmunta Starego, Zygmunt August (1548 — 1572). Dążył on bowiem konsekwentnie do zrealizowania trzech postulatów morskich: 1) do powiększenia linji wybrzeża, 2) ścisłego zespolenia prowincyj nadmorskich z resztą państwa i 3) opanowania Bałtyku pod względem wojskowym. Przy realizowaniu tych zamierzeń wyzyskiwał doskonale Zygmunt ówczesną sytuację polityczną, która w połowie XVI-go stulecia różniła się znacznie od sytuacji z przed stu lat, za Kazimierza Jagiellończyka, w chwili podpisywania pokoju Toruńskiego.

Zamiast zakonu krzyżackiego istniało hołdujące Polsce księstwo pruskie, którego ludność, zwłaszczcza duchowieństwo, szlachta i bogate mieszczaństwo, była nastrojona bardzo niechętnie względem swego księcia, Albrechta Hohenzollerna, b. wielkiego mistrza zakonu. Zakon Kawalerów Mieczowych w t. zw. Inflantach (dziś Łotwa i Estonja) chwiał się w posadach coraz bardziej, naciskany od wschodu przez Moskwę, a od zachodu, od strony Bałtyku, przez państwa skandynawskie. Związek Hanzeatycki, owa niemiecka awangarda handlowa, był już w zupełnym upadku od czasów zamachu stanu, jakiego dokonał przy pomocy gminu Jurgen Wullenweber na początku XVI-ego stulecia i jaki ściągnął na Lubekę eskadry duńskie i szwedzkie w 1535 r. Jednem słowem, przewaga niemiecka na Bałtyku skończyła się. Przechodząc do państw skandynawskich, nastąpił tam, po złożeniu z tronu Chrystjana II-go w 1523 r., rozdział między Danją a Szwecją, przyczem oba państwa zaczęły wkrótce rywalizować

co do hegomonji na Bałtyku i oglądać się za sprzymierzeńcami. Innemi słowy, ewentualny spadkobierca przewagi niemieckiej, państwa skandynawskie, znajdował się w stanie niezgody wewnętrznej. Natomiast od wschodu, nad brzegami zatoki Fińskiej, pokazał się nowy współzawodnik do Bałtyku, był nim Iwan IV Groźny (1533 — 1584), car moskiewski, łamiący opór Kawalerów Mieczowych i „przebijający sobie okno na Zachód" w Narwie, przy ujściu rzeki Narowy do zatoki Fińskiej.

Moskwa, torująca sobie drogę do Bałtyku, a jednocześnie napastująca od czasów Aleksandra Jagiellończyka północno-wschodnie kresy monarchji Jagiellonów, była oczywistym wrogiem nietylko Zygmunta Augusta jako wielkiego księcia Litwy, lecz i Zygmunta Augusta, jako króla Polski, dążącego do wyjścia na morze Bałtyckie. Tu interes państwowy polski pokrywał się całkowicie z litewską racją stanu oraz dynastycznemi pobudkami ostatniego Jagiellona. Zygmunt August połączył po mistrzowsku obronę granic litewskich, co było podchwycone z całym zapałem na jego rodzimej Litwie, z ekspansją polską na północ, wzdłuż brzegów Bałtyku, co zyskało ogólne uznanie w Polsce. Podczas tych kroków przeprowadzał on ścisłe zespolenie Prus Królewskich z resztą państwa oraz okiełzał zaczynający wyłamywać się z należnego posłuszeństwa Gdańsk. Wreszcie, podczas toczących się nad Bałtykiem i na Bałtyku wojen sformował własną marynarkę wojenną. Odbyło się to wszystko podczas t. zw. 7-letniej wojny Północnej (1563 — 1570), jaka wynikła ze sporu o ziemie Kawalerów Mieczowych między Polską, Danją, Moskwą i Szwecją.

W wojnie tej Zygmunt August początkowo był w przymierzu z Danją, która zakupiła od rozpadających się Kawalerów Mieczowych wyspę Ozylję i walczyła ze Szwedami, uważając ich zasadniczo za buntowników, wyłamujących się z Unji Kalmarskiej. Z chwilą jednak przewrotu pałacowego w Szwecji w 1568 r., kiedy szwagier jego, Jan, książę finlandzki, został okrzyknięty królem szwedzkim, zaprzestał kroków wojennych przeciwko Szwedom w Inflantach, którzy zajęli Rewel (dziś Tallin) i kusili się o Rygę. Polska w tej wojnie wojowała zasadniczo z Moskwą, nie mogącą strawić poddania się zakonu Kawalerów Mieczowych Zygmuntowi Augustowi i przyjęcia ich ziem do Polski częściowo pod władzę bezpośrednią, t. zw. Inflanty Polskie, składające się z województw dorpackiego, wendeńskiego i parnawskiego, a częściowo pośrednio, jako lenne księstwo Kurlandji. Objęcie przez Polskę panowania nad nowemi nabytkami terytorjalnemi nastąpiło w 1561 r. przed wybuchem wojny Północnej, a Traktat Szczeciński, kończący tę wojnę w 1570 r. nie mógł wpłynąć na losy tych ziem, choć zawierał klauzulę, że mają one wrócić do cesarstwa niemieckiego (co spowodowało wyjście z sali obrad posłów polskich, Marcina Kromera i Jana Solikowskiego). Zygmunt August przyłączył zatem do Polski pas ziemi nadbałtyckiej o długości 500 klm., a szerokości 100 — 200 klm., z czego połowa należała do państwa bezpośrednio. W rękach polskich znalazło się ujście Dźwiny ze świetnym portem, Rygą, ku któremu ciążyła cała Litwa północna. Jednocześnie, w parze z uzyskaniem nowych nabytków nadmorskich, wiązał ostatni Jagiellończyk drugą prowincję bałtycką, Prusy Królewskie ściślej z Polską: unja monetarna była przeprowadzana jeszcze za Zygmunta Starego, teraz wprowadzono język polski jako jedynie urzędowy podczas obrad (1556 r.), potem nastąpiły przyjazdy posłów i senatorów pruskich na walne sejmy polskie (od 1562 r.), aż wreszcie na sejmie lubelskim, który przeprowadził ostateczną unję między królestwem polskiem a wielkiem księstwem litewskiem. prowincja Prus Królewskich została ostatecznie wcielona, a sejm w Grudziądzu stał się prowincjonalnym sejmikiem, załatwiającym drobne sprawy miejscowe. Scalając Pomorze z Polską, nie zapominał Zygmunt August o lennem księstwie Prus Książecych, pilnując bacznie swego brata ciotecznego, Albrechta Hohenzollerna. Ostatni Jagiellończyk podkreślał ustawicznie zależność Prus Książecych od Polski, przestrzegając pilnie prawa apelacyjnego mieszkańców tamtejszych od wyroków książęcych do Korony, nakazując dostarczania kontyngentów morskich w postaci nielicznej coprawda, ale już istniejącej eskadry Albrechta w czasie wojny północnej i paraliżując wpływy propagandy luterskiej, używanej przez księcia pruskiego jako narzędzie do wzbudzenia separatyzmu zarówno w Prusach Królewskich, jak i Książecych, przez popieranie założonych w Braniewie (niem. Brunsberg) w Warmji szkół jezuickich, krzewiących przywiązanie do katolicyzmu i Polski. Wreszcie Zygmunt August, będąc w Europie jednym z pierwszych założycieli stałej i regularnej armji w postaci wojska kwarcianego, przystąpił w czasie bojów z Iwanem Groźnym i podczas wojny Północnej do tworzenia polskiej marynarki wojennej, powołując do życia ministerjum marynarki pod nazwą Komisji Morskiej, która łączyła w sobie zagadnienia operacyjne, organizacyjne i administracyjne (1568 r.). Komisja ta z przewodniczącym, energicznym i sprężystym kasztelanem gdańskim, Janem Kostką ze Stangenbergu, miała pod sobą flotę królewską, zwerbowaną systemem kaperskim, przyjętym wówczas w większości państw europejskich. Flota owa dochodziła do 30 okrętów, które się dzielnie sprawiały, przecinając dowóz kontrabandy do Narwy i walcząc początkowo ze szwedzką, a potem z duńską flotą. Dowodzili nią Wacław Dunin-Wąsowicz, autor memorjału, złożonego Zygmuntowi Augustowi o potrzebie utworzenia polskiej marynarki wojennej, a później Maciej Schärping. Za zasługi wojenne 4 dowódców okrętowych (Figenow, Genderich, Starosta i Tresler) zostało ozdobionych indygenatem szlacheckim na sejmie Lubelskim. Od tych też czasów datuje się bandera wojenna Polski przedrozbiorowej, mianowicie ręka z mieczem w czerwonem polu, zachowana do dnia dzisiejszego na proporcach floty odrodzonej Rzplitej. Utworzenie własnej floty wojennej dało powód Zygmuntowi Augustowi do utrzymania w należnych ryzach zaczynającego się wyłamywać Gdańska, który począł się uważać za niezależne państwo, złączone z Polską tylko pewnego rodzaju unją personalną. Gdańszczanom chodziło tutaj zasadniczo o utrzymanie monopolu na polski handel morski i patrzyli się oni niechętnem okiem zarówno na próby tworzenia polskiej marynarki handlowej, jak i na wysiłki ostatniego Jagiellona, mające na celu wystawienie polskiej marynarki wojennej. Opór ten został złamany przez podyktowanie krnąbrnemu miastu t. zw. statutów

Karnkowskiego w 1570 r., które głosiły, że panowanie nad morzem oraz prawo otwierania i zamykania Wisłoujścia (niem. Weichselmünde), a zatem żeglugi morskiej należą jedynie i wyłącznie do króla i że komendant gdańskiej twierdzy nadmorskiej, pilnującej wejścia do portu gdańskiego, składa przysięgę na wierność nietylko królowi, lecz i państwu polskiemu. Pozatem wzbraniały statuty Gdańskowi zaciągania najemnych żołnierzy i prowadzenia wojen. Wreszcie, w związku z arystokratycznym składem rady miejskiej, złożonej wyłącznie z osiadłych zdawiendawna w Gdańsku kupców niemieckich, dopuszczały statuty Karnkowskiego do rządów miejskich żywioł demokratyczny, w którym przeważały elementy polskie. Zastrzeżone też zostało prawo apelacji do króla od wyroków sądów gdańskich.

Rychła śmierć Zygmunta Augusta, jaka nastąpiła niebawem po sejmie Lubelskim, nie pozwoliła ostatniemu Jagiellonowi na dokończenie owych planów bałtyckich. Zostawiał on jednak następcom, po pierwsze, znakomicie powiększone wybrzeże morskie, po drugie, zespolone ściśle z macierzą Prusy Królewskie, po trzecie, wzięty w karby Gdańsk oraz krótko trzymane Prusy Książęce, a po czwarte, nakoniec, szeroko rozwinięte w ogóle polskim zrozumienie potrzeby nietylko utrzymania się na brzegu morskim, lecz i panowania nad falami Bałtyku. Z otoczenia Zygmunta Augusta wyszedł cały zastęp niestrudzonych szermierzy idei morskiej w Polsce, jak biskupi: Stanisław Karnkowski i Jan Solikowski, przyszły kanclerz i hetman Jan Zamoyski, kasztelan Jan Kostka, starosta Ernest Weyher i inni. Stali się oni w niedalekiej przyszłości realizatorami wielkiej myśli Zygmunta Augusta o przekształceniu całego Bałtyku na polskie jezioro wewnętrzne zapomocą unji personalnej między Polską a Szwecją. Myśl ta zakiełkowała u ostatniego Jagiellona podczas 7-letniej wojny Północnej, kiedy wydawał zamąż za królewicza szwedzkiego Jana, będącego wówczas księciem finlandzkim, swą siostrę Katarzynę. Zygmunt August widział jasno, że najlepszym cementem, łączącym Polskę ze Szwecją, będzie Moskwa, sięgająca zarówno po Inflanty polskie i kresy wschodnie Rzplitej, jak i po Estonję oraz południe Finlandji szwedzkiej. Poza tem dziedziczny wróg Szwecji, Danja, stale utrudniała handel gdański i przeszkadzała wszelkim poczynaniom Polski na morzu. Wspólny antagonizm przeciwko Moskwie i Danji miał połączyć Polskę ze Szwecją. Opanowanie Bałtyku stało się jedną z podstaw polskiej racji stanu, która znalazła odtąd wyraz w każdorazowych *pactach conventach*, nakładających stale na nowoobranego króla obowiązek wystawienia odpowiednio silnej marynarki wojennej.

Testament piastowski Kazimierza Wielkiego, nakazujący Polsce uzyskać zpowrotem utracone Pomorze, został zrealizowany przez Kazimierza Jagiellończyka, a powiększony wyjściem na Bałtyk od strony Dźwiny — przez Zygmunta Augusta.

WITOLD HUBERT

NAGANA GŁUPSTWA

(PRZEKŁAD Z LUKRECJUSZA)

Suave mari magno turbantibus aequosa ventis...
(Lucr. Cari: De rer. nat., ex lib. sec.).

Stojąc na brzegu bezpiecznym miło spoglądać na fale,
Burzą wzdymane, i widzieć znoje i trudy żeglarza.
Nie jest-ci wprawdzie rozkoszą patrzeć na zgubę drugiego,
Ale że miło jest widzieć to, co nas mija, nieszczęście...
Miło z bezpiecznej kryjówki, zdala od grozy bitewnej
Wojska oglądać, co w szykach bojem się sparły potężnym.
Ale nad wszystkie widoki milszym zaprawdę ten mienię,
Którym się z wyżyn świątyni, kędy nauki królują,
Możesz radować do syta:

Oto ludziska w natłoku
Gonią fortunę, albo też sporem się kłócąc zaciekłym,
Komu z nich palma genjuszu, lub też nadętość szlachectwa
Słusznie przystoi... I oto dniami długiemi i nocą
Trudem się pocą zawziętym, aby się jeno ku władzy,
K'temu, co zowią wielkością, wspiąć. O, nieszczęśni wy ludzie,
Serca oślepłe! Zaprawdę, krótkie są chwile, co jeszcze
Wam pozostają, a jednak pociemku, w licznych przygodach,
Chwil tych troszeczkę trwonicie!

Głosu przyrody słuchajcie:
Czegóż się ona domaga? Ciała, zwycięzcy nad bólem,
Duszy od strachów swobodnej, od niepokojów i troski.
Ona nie żąda, abyście pysznym kazali posągom
Dźwigać pochodnie, co podczas nocnych goreją festynów,
Ona nie żąda, by złotem domy błyszczały i srebrem,
Ona nie żąda, by echem liry oddźwięczał kaseton
Złoty, przeceny.

Wszak ona dała wam świeże trawniki,
Kędy nad brzegiem ruczaju, w drzew rozłożystych zaciszu,
Siedząc przyjazną gromadką — (zwłaszcza, gdy wiosna [z uśmiechem
Pośród zieleni rozsieje kwiecie pełnemi rękoma) —
Tych zażyjecie rozkoszy, które nie drogo kosztują
A zdrowiem skrzepią was dzielnie...

Zaliż purpura i bisior
Żwawiej wypłoszą gorączkę z łoża chorego bogacza,
Niźli ta licha pościółka, w którą się wtulił ubogi?

Ani obfite skarbony, ani rodowe zacności,
Ani monarsze zaszczyty tego nie sprawią, ni w ciele,
Aby przetrwało, ni w duszy, by się cieszyła ukojem.
Choćbyś oglądał twe wojska, drżące w obozach na bitwę,
Zbrojne, wiejąco znakami, siły zasobne końskiemi,
Ufne w potęgę swej liczby, oddychające jak jeden,
Choćbyś i widział, jak tłumnie wali przez morze twa flota,
Mniemasz-że temi widoki strachy rozegnać śmiertelne,
Serce wyzwolić od troski, dać mu spoczynek od lęku?...
Śmieszne cacanki! Bo szczęki broni bynajmniej nie zgoni,
Troski, co gryzie bez miary: Ona się dumnie na dworach
Jawi królewskich i trony śmiało zasiada, czci żadnej
Nie okazując purpurze, ani klejnotom koronnym!...

Przełożył
K. L. K.

NA WIDOWNI

BB jako pośrednik między państwem a społeczeństwem. — Potrzeba jedności wobec kryzysu. — „Prosty naród" i naród wogóle. — Jak te rzeczy pojmuje obóz narodowy. — Poczucie osobowości państwowej. — Jednoczyć czy izolować.

OBECNY kierownik nawy państwowej, prof. Leon Kozłowski, uznał za stosowne podzielić się ze społeczeństwem doświadczeniami, zdobytemi w ciągu miesięcznej pracy na posterunku prezesa Rady Ministrów, oraz zamiarami na przyszłość. Przyszedł bowiem do wniosku, że „całe społeczeństwo" winno współpracować z rządem w walce z kryzysem:

„Trzeba, aby całemu społeczeństwu były znane i wiadome zamiary tych, co powołani są do kierowania zbiorowym wysiłkiem tego zmagania. Więcej, niż znane — trzeba, aby były zrozumiałe".

Na pośredników między sobą i społeczeństwem obrał grono osób, należące do Bez. Bloku W. R., jako specjalnie do współpracy kwalifikowane zaufaniem rządu. Skuteczność pośrednictwa oczywiście zależy jeszcze od tego, jakiem zaufaniem te osoby cieszą się w społeczeństwie. Ale ostatecznie od tego są:

„Sądzę" — mówił do nich p. premjer — „że właśnie za pośrednictwem panów myśli Rządu dotrą do najszerszych kół w formie nieskażonej, że właśnie za pośrednictwem panów można je uczynić nietylko wiadomemi, lecz i zrozumiałemi dla ogółu. Ten obowiązek: wyjaśnienia nie tylko co, lecz i dlaczego się robi dla poprawy gospodarczej, — ciąży na panach, jako jeden z istotnych czynników współpracy z Rządem"...

Społeczeństwo — sądzę o tem po sobie — z niemałem zainteresowaniem nastawiło ucha, rzadko bowiem danem mu bywa słyszeć cokolwiek o zamiarach Rządu przed ich realizowaniem w dekretach. Zrozumieć potrafi, aby tylko wiedziało.

Prasa sanacyjna obszerne przemówienie prof. Kozłowskiego ogłosiła według dostarczonego oficjalnie tekstu (z niego cytuję), podkreślając z uznaniem szybkość, z jaką nowy mąż stanu zorjentował się w zagadnieniach gospodarczych, tak oddalonych od jego naukowego zawodu. P. premjer zatrzymał uwagę słuchaczy na szczegółowych zagadnieniach rynku (ceny produktów, taryfy kolejowe), samorządu, ubezpieczeń społecznych i t. p. Jaki kierunek nada polityce socjalnej w sprawach struktury gospodarczej, tego wyraźnie nie powiedział i to nie będzie „zrozumiałe" inaczej, jak tylko przez domysł. Wywnioskować to można z założenia ogólnego, które brzmi:

„Powrót do stosunków przedkryzysowych jest nieprawdopodobny. Wynika stąd wskazanie niezmiernej wagi, odrzucone niestety w ciągu lat przez wiele państw i wielu ekonomistów — a mianowicie, że przezwyciężenie kryzysu nastąpić może tylko poprzez osiągnięcie równowagi na nowym, niższym poziomie, a natomiast nie może być dokonane przez próby odbudowy równowagi przedkryzysowej. Wskazywało to, jako jedynie celową, politykę przystosowywania, nie zaś politykę prób tworzenia sztucznej konjunktury — stosowaną tak szeroko i tak bezskutecznie na świecie — z jedynym istotnym skutkiem — opóźniania poprawy".

A nieco dalej:

„Tam mianowicie, gdzie chodzi o procesy przystosowawcze, gdzie trzeba przeprowadzić nieuniknione zmiany — tam musimy nie bronić, lecz atakować. Musimy przyśpieszać nieuniknione likwidacyjne procesy, aby jaknajprędzej gospodarstwo polskie, przystosowane do nowych warunków, mogło ruszyć całą siłą swych sił produkcyjnych".

Nie trudno w tych aluzjach dopatrzeć się zamiaruześrodkowania uwagi na interesy ludu z poniechaniem zabiegów koło ratowania wyższych kondygnacyj gospodarki. Świadczy o tem zakończenie mowy p. premjera, uwydatniające ogólną tendencję polityczną i, jak zobaczymy, kładące silny akcent na osobistą jego rolę w sprawie poprawy położenia. Prorządowy „Kurjer Poranny" dał nad tym ustępem tytuł: „Rząd o prostym narodzie myśli i dla niego pracuje". Każdego zastanowi, coby w tym tytule znaczyły wyrazy „prosty naród" *(prostoj narod)*, ale tekst sprawę rychło wyjaśni:

„Mówiąc może trochę przydługo, starałem się Panom przedstawić sprawy polskiego gospodarstwa. Są to sprawy trudne i zawiłe, bo gospodarstwo jest duże i bardzo rozmaite.

Jak widzicie, gospodarować w niem chcę — oszczędnie i praktycznie; gospodarować chcę tak, aby prosty człowiek, człowiek pracy rąk swoich w mieście i na wsi rozumiał i wiedział, że się o jego sprawy troszczę. Aby rozumiał, że tak samo jak w małem gospodarstwie cudów niema i rząd ich także robić nie może.

Mogę natomiast stwierdzić, że rzetelną pracą ku lepszemu idziemy jutru. A wy, panowie, idąc do narodu powiecie, że rząd o prostym narodzie myśli, że dla niego pracuje, ale pamiętajcie, że tak samo, jak niema porządku w narodzie bez rządu, tak samo niema dobrego rządu bez poparcia narodu.

Całe polskie gospodarstwo jest nasze i wszyscy się doń przyczyniamy i tylko razem, wspólnie możemy lepsze jutro wypracować.

Wiem o tem dobrze — jest dużo biednych, są i głodni, w kraju jest dużo do zrobienia i wiele do zbudowania.

Ja wam nie będę obiecywać, czego zrobić nie mogę. Powiedziałem tylko, po jakiej drodze pójdą prace rządu. Nie edno żeśmy już w Polsce zrobili i nie jedno jeszcze zrobimy".

Oprócz optymizmu, którym tchnie ten retoryczny ustęp, zasługują na zaznaczenie momenty: 1) dążność do przekonania ludu (prosty naród), że rząd „o jego sprawy się troszczy", 2) wniosek, że „niema dobrego rządu bez poparcia narodu" i 3) że „tylko razem, wspólnie możemy lepsze jutro wypracować". Słowa te, jeżeli terminy użyte dobrze rozumiem, oznaczałyby, że rozwój pojęć państwowych znacznie postąpił w kierunku rozszerzającym znaczenie t. zw. „współpracy". Zespół BB wydaje się już w tej mierze czemś niewystarczającem.

Powyższy wywód o stosunku wzajemnym państwa, ludu i narodu przypomniał mi żywo czasy z przed kilkudziesięciu lat, kiedy układaliśmy z głębi duszy wyjęty, bez cienia demagogji pomyślany program dla wyłaniającego się z ówczesnych prądów narodowych stronnictwa. W rozdziale p. t. „Cele" stało przykazanie (Cytuję z edycji 1903 r.):

„Głównym celem politycznym, wynikającym z położenia naszego narodu, jest osiągnięcie niepodległości i stworzenie samoistnego państwa polskiego".

Wszystko więc, co zasad i środków tyczyło w tym programie, widziane było w widokach państwa. Był to program państwowy. Jakże „współpracę" rozumieliśmy? W części ogólnej mówiło się:

„Wydobycie ze swego narodu jaknajwiększych sił, zorganizowanie go we wszystkich dziedzinach życia i pracy, wreszcie wyrobienie w nim zdolności, cnót politycznych, niezbędnych do zapewnienia sobie lepszej przyszłości w wyższych formach samoistnego bytu politycznego".

A zaraz potem w rozdziale „zasady":

„Interes narodu polskiego jako całości (w przeciwieństwie do interesów klasowych, wyznaniowych, korporacyjnych, dzielnicowych, lokalnych) stanowi najwyższą miarę

wartości politycznych. Znaczenie zdarzeń i czynów politycznych przedewszystkiem mierzy się tem, o ile przyczyniają się one do obrony i rozszerzania wpływów narodu nazewnątrz, na wewnątrz zaś do wzmocnienia jego jedności, do rozwoju sił narodowych, do pogłębienia treści i rozszerzenia zakresu narodowego życia.

Interesy ludu, sprawa jego postępu pod wszelkiemi względami są dziś równoznaczne z interesami narodu, w ścieraniu się tedy sprzecznych dążeń społecznych pierwszeństwo musi być dane interesom warstw ludowych polskich"...

To, czego się teraz szuka w potrzebie i w niezbyt jasnych widzi się konturach, było już dawno w naukach politycznych, programach i praktykach zdobyte i w jasnych terminach ustalone. I bynajmniej nie było tak, jak się to u nas od niedawna nauczono przedstawiać, jakoby kierunek dążeń narodowych przeciwny był interesom państwa, był bowiem zawsze kierunkiem, mającym na celu wytworzenie silnego państwa. Ideom i zasadom, w tej koncepcji państwa zawartym, hołdowali — że przytoczę dla przykładu — ojciec dzisiejszego premjera ś. p. Stefan Kozłowski, ojciec dzisiejszego ministra, niedawno zmarły, ś. p. Kazimierz Poniatowski. Jan Popławski, współtwórca wyżej cytowanego programu, w r. 1901 promował w Galicji, stojąc na czele komitetu wyborczego — dzisiejszego senatora - sanatora Jakóba Bojkę. Dzisiaj Bojko przyklaskuje manewrom, mającym na celu odczepienie idei państwa od idei narodu; zdawało się, że odtąd, dzięki jakiemuś dziwnemu wynalazkowi, państwo już nigdy nie wezwie imienia narodu. Tymczasem kryzys przypomniał o jego istnieniu.

Zasada jedności moralnej narodu, żyjącego „w wyższych formach samoistnego bytu politycznego" odpowiada faktowi psychicznemu, wyrażającemu się w poczuciu osobowości. Państwo narodowe jest jednostką, obdarzoną świadomością swego Ja i nie - Ja i stąd wyprowadza dla siebie konsekwencje polityczne i prawne. Należycie pogłębionemu poczuciu państwowemu musi przedewszystkiem narzucać się wyraźna granica między tem, co jest żywiołem sprzyjającym życiu państwa, a tem, co na byt państwa nastaje.

Najdobitniejszą ilustracją takiego rozróżnienia jest stosowana w czasie wojny instytucja obozów izolacyjnych, przeznaczonych dla tego żywiołu nieprzyjacielskiego, który się znalazł wewnątrz państwa. W czasie pokoju zewnętrznego państwo może znaleźć się także w stanie walki z wrogami nastającymi na jego byt. P. premjer wymienił komunistów (anarchiści żydowscy) i Ukraińców, ale czy — ze względów głębiej rozumianej jedności narodowej, do której p. premjer się odwołuje — można jednym tchem wymieniać wespół z tamtemi wrogami „narodowców", to kwestja, domagająca się poważnego zastanowienia.

Mam na myśli ustęp mowy prof. Kozłowskiego, poświęcony zagadnieniu takich obozów:

„Dekret o miejscach odosobnienia pozwala w sposób radykalny zlikwidować w zarodku wszelkie próby anarchji. W miejscu odosobnienia w Berezie Kartuzkiej znajdą się r a z e m zagrażający bezpieczeństwu publicznemu Ukraińcy, zaanarchizowane elementy przeważnie żydowskie i p a ł k a r z e o b o z u n a r o d o w e g o.

Surowy regulamin i pożyteczna dla Państwa praca przymusowa są środkami wychowawczemi, które elementy niedostosowane do zorganizowanego życia społecznego nauczą w ł a ś c i w e g o s t o s u n k u d o p a ń s t w a".

W interesie idei państwa, tak mocno obecnie w wychowaniu akcentowanej, leży, aby rozróżnienie między elementami, z któremi państwo, choćby nawet w dziedzinie karnej, ma do czynienia, nie było zacierane. Należyte przemyślenie tej idei doprowadziłoby do wyrównania wielu nieporozumień. Obie strony, nawołujące się do współpracy, powinny przedewszystkiem się rozumieć; wtedy nie będzie nieporozumień i pogardliwych epitetów, nadawanych obozowi narodowemu. Tego rozumienia domagał się w mowie swojej p. premjer, mówiąc o zamierzeniach rządu, że powinny być całemu społeczeństwu „więcej niż znane, bo — zrozumiałe". Dlatego przemówienie jego upoważnia do roztrząsania wątpliwości.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

IMPONUJĄCYM PRZEJAWEM żywotności ducha narodowego stał się, odbywający się obecnie w Warszawie, II Zjazd Polaków z Zagranicy Stolica przeżyła chwile szlachetnych i głębokich wzruszeń, oglądając naocznie, jakie potężne, nie dające się zerwać więzy moralne łączą z Ojczyzną polską owe rzesze rodaków, częstokroć oddalonych od niej o tysiące mil, nieraz przebywających wśród otoczenia, pociągającego urokiem wysokiej cywilizacji lub chociażby jej tempem przyśpieszonem, odrywającem od wspomnień „starego kraju" i wciągającem — zdawałoby się — nieodwołalnie w wir codziennych spraw i zabiegów nowego środowiska.

Równocześnie ten Zjazd Polaków z Zagranicy uwydatnił szczególnie jaskrawo śmieszność głupstwa, propagowanego u nas tonem poważnym pod nazwą „ideologji państwowej". Cóż łączyłoby z Polską owe miljony Polaków, obywateli państw obcych, jeżeliby wspólność krwi, tradycji, kultury — słowem: wspólnota przynależności do n a r o d u była czemś nieistotnem, a wszystko sprowadzało się jedynie do paszportu, do mniej lub więcej formalnego zagadnienia obywatelstwa państwowego. Wszak nie wystarczy chyba pouczanie tych rodaków o obowiązku „lojalności względem Państwa", jeżeli lojalności tej—i nie bezzasadnie—domagają się od nich właśnie państwa obce, skoro przyjęły ich w poczet swoich obywateli i obdarzyły wypływającemi stąd uprawnieniami.

Ale pracę dla cywilizacji polskiej, obowiązki względem narodu wykonywać można i trzeba w każdych warunkach, pod każdą szerokością geograficzną, na najdalszych choćby krańcach ziemi. Tworzyć i wzbogacać kulturę polską, przechowywać jej skarby — to najświętszy obowiązek Polaka zawsze i wszędzie, niezależnie od przynależności państwowej, od miejsca zamieszkania. Mają świadomość prawdy tej miljony Polaków, rozproszonych po całym globie i Zjazd obecny jest wspaniałem i nieodpartem tego stwierdzeniem.

SWOISTA KULTURA. Dość już dawno temu, jak w jednym z „Głosów" naszych osławionym „Wiadomościom Literackim" przypięto nazwę „Wiadomości Latrynackich". Złośliwość tej nazwy nie przewyższała jej trafności, o czem niemal każdy zeszyt owego tygodnika dowodnie świadczy, a jeden z ostatnich zeszytów (z dnia 15 lipca) dosłownie już do latryny swoim duchem poetyckim wstępuje. W zeszycie tym

ogłoszono wyniki „turnieju” młodych poetów, a w tym, tak po rycersku nazwanym, konkursie wyróżniono między innemi utwór p. t. „Do zasypanej latryny”. Przeczytajmy dwie pierwsze zwrotki wzruszającej elegji:

„Choć smrodliwa, lecz szczera, wciąż oczekująca,
Zaciszna przed wiatrami, przytulna i słodka,
Przetrawionym gulaszem dziko musująca,
Kołysząca stękaniem i żołnierską plotką.

Zawsze pełna munsztuków, dymu, chłopów, gwaru,
Idzie kapral? Nie idzie. Daj jednego dyma.
Ty śmierdząca latryno, dobrze żyłaś z wiarą.
Wierny twój brzuch ziemisty tyle chłopa strzymał“.

Nasuwają się wprawdzie podejrzenia, że tu ktoś zadrwił sobie z sądu konkursowego, bo utwór jest niepodpisany, posiada notomiast godło „Ewedel”, czyli firmę pewnej fabryki czekolady. Ale, oczywiście nie chodzi tu o autora, a redakcja „Wiadomości Latrynackich” wyraźnie pisze, że elegję ową sąd wyróżnił w konkursie „jednogłośnie”. Niechże nasi czytelnicy sami teraz osądzą, czy złośliwość nasza była bodaj o jeden mikron przesadzona.

Poetycki konkurs „Wiadomości Latrynackich” wart omówienia, więc może mu poświęcimy rozprawkę osobną. Tymczasem, przy sposobności przytoczę jeszcze jeden stamtąd wycinek swoistej kultury. W zeszycie z dnia 29 lipca przypomniały sobie „Wiadomości” szkic przed pięcioma miesiącami w „Myśli Narodowej” drukowany p. t. „Celowość sprzętu”, a przytoczywszy z niego urywek, w którym mowa o tem, że na krześle siedzi nietylko ciało, ale duch, myśl i wola, kończą swoją drwiącą notatkę w słowach następujących:

„Tak, tak, nikt nie zaprzecza. Ale i d... przy siedzeniu też coś znaczy. Żydzi ją wprawdzie wymyślili, lecz mimo to istnieje, siedzi i także wzmianki warta“.

Powszechnie wiadomo, że wyobraźnia żydów bezustannie zajęta jest sprawami fekalij. Nie dziw, że ta cecha rasowa i narodowa raz po raz przemawia z dzieł Boy'ów, Kadenów, Watów i Witlinów. Duszą ducha i sednem sedna kultury żydowskiej zawsze była i będzie latryna z przyległościami. O tem poucza niemal każdy zeszyt „Wiadomości Latrynackich”, a ich Słonimer, gdy znagła w melancholję wpadnie, mówi *ex aequo*, (jako że z nienawiści do Rzymu lubi posługiwać się łaciną): „*Sunt latrinae rerum...*”.

NAUKA i LITERATURA

MACIERZYŃSTWO P. JOANNY BURHARDT

„DZIECKO i Swastyka” — już sam ten tytuł łatwo wprowadzić może w błąd. Nasuwa się przypuszczenie, że chodzi tu o jakąś rozprawę naukową na temat systemów wychowawczych w hitlerowskich Niemczech, problemu depopulacji, czy coś w tym stylu. Tymczasem nic podobnego. „Dziecko i Swastyka” — to powieść, zresztą zatytułowana dość niefortunnie, bo o dziecku dowiadujemy się z niej tylko tyle, że na imię mu Hugon, że jest dość miłem i normalnem niemowlęciem, a o swastyce jeszcze mniej. Prawdziwym tematem powieści jest macierzyństwo. Możnaby przypuszczać, że w opracowaniu kobiety i to w dodatku zdolnej pisarki, jaką jest p. Wanda Melcer, temat ten rozwinięty będzie głęboko i ciekawie.

Niestety, historja pani Joanny Burhardt, pomimo rozpaczliwych wysiłków autorki, żeby ująć ją pod kątem poglądów i ideowych „nastawień“ kobiety naprawdę współczesnej, a może właśnie dlatego — jest bardzo banalna i jeszcze bardziej niesmaczna. Powieść rozpada się wyraźnie na dwie części: przed i po porodzie. Dolegliwości okresu ciąży — jako to: trudność chodzenia, wstawania, robienia *pedicure*'u i przewracania się z boku na bok, opisane są z iście benedyktyńską drobiazgowością. Autorka tak wyczerpuje się opowiadaniem o całej gamie bólów nieszczęsnej Joanny, że nie starcza jej już siły do opisu samego porodu, który, mimo całego aparatu ginekologicznych komplikacyj i medycznych, a nawet chirurgicznych zabiegów, z cesarskiem cięciem włącznie (motyw tego typu operacyj wyjątkowo we współczesnej polskiej literaturze modny — *vide* „Zazdrość i medycyna”) — wypada bardzo blado.

Okres rekonwalescencji bohaterki opisany jest z ogromną profuzją szczegów i nie mniejszym brakiem smaku, czego dowodem jest choćby taki interesujący *passus* (str. 147) — „Joanna przeszła do potajemnego gabinetu, *(sic)*... któżby pomyślał, że w spełnieniu cokolwiek zresztą utrudnionem tak prostych z pozoru funkcyj, tyle będzie leżało „zdrowej przyjemności”...

Po całkowitym powrocie do zdrowia bohaterka zaczyna pracować, likwidować sprawę swego małżeństwa z żydowskim bankierem i... żyć płciowo, t. zn. rzuca się w objęcia pierwszego lepszego gentlemana, który może być w danym celu użyty i zażyty (bo jak wynika z późniejszych wywodów p. Melcer, Joaana zażywa mężczyznę jako *antidotum* na... histerję). Ma nawet zamiar uczynić to o wiele wcześniej, i w trakcie samego porodu, gdy jeden z lekarzy, którego widzi po raz pierwszy, przenosi ją na rękach do sali operacyjnej, Joanna „wtula się w męskie ramiona... całą siłą swej istoty”, chce „żeby ją posiadł... teraz, zaraz, w tej chwili”. Niestety liczne audytorjum lekarzy i pielęgniarek (scena odbywa się w szpitalu), jak również fizyczny stan damy (na 5 minut przed cesarskiem cięciem) stają na przeszkodzie urzeczywistnieniu tego rozczulającego porywu.

Nie wiemy jaki „Liga Reformy Obyczajowej” Boya wywrze wpływ na stosunki społeczne, ale na twórczości tych pań z pod znaku „Wiadomości Literackich” odbija się wręcz fatalnie. Może dlatego, że grzeszą *par excès de zéle* i chcą być *plus royalistes que le roi*, czy właściwie *plus boyistes que Boy*. Tak, że bohaterka pani Wandy Melcer, przy swych sportowo erotycznych wyczynach, nie tylko nie chce łączyć się legalnym węzłem z partnerem, lecz nawet uważa, że selekcja tych partnerów jest rzeczą zgoła niepotrzebną.

Kochanek pani Joanny jest podstarzałym i nudnawym lowelasem, uczuciowo i fizycznie zupełnie jej obojętnym, z którym nie łączą jej żadne duchowe węzły. Ten ostatni moment autorka stale i uporczywie zaznacza. I napróżno łamalibyśmy sobie głowy nad tem, co skłania piękną i młodą kobietę do utrzymywania miłosnego *(sic)* stosunku z tym wyranżerowanym don Juanem, gdyby nie przyszła nam z pomocą sama pani Melcer, stwierdzając w rewelacyjnej i nie pozbawionej patosu enuncjacji, że Joanna po to tylko romansuje z nieciekawym i zupełnie jej obojętnym człowiekiem, „żeby móc żyć i fukcjonować normalnie, żeby móc wychowywać dziecko bez histerji na silnego człowieka”. Tu już jesteśmy w dziedzinie czystej humorystyki.

Nie wiemy, jak pani Wanda Melcer wyobraża sobie dodatni wpływ wychowawczy, jaki na małego Hugona ma wywrzeć miłosna gimnastyka jego mamy z panem von Strelitzem, dziwi nas tylko, że powyższy cytat wypowiedziany został przez autorkę, która, jak sama głosi, tak wielką wagę przywiązuje do wrodzonego poczucia humoru. Zresztą sama autorka zaczyna się widocznie orjentować, że z tym niefortunnym flirtem nie bardzo jej bohaterce do twarzy i chcąc ją nawet w tak niewdzięcznej sytuacji otoczyć nimbem niepospolitości, każe Joannie prowadzić z kochankiem w łóżku (koniecznie w łóżku) uczony a głęboki „dyskurs o symbolach”. Tu przestajemy się dziwić, dlaczego nie

szczęsny von Strelitz tak szybko opuszcza swoją hyperinteligentną kochankę.

Akcja powieści rozgrywa się podobno w Niemczech. Musimy wierzyć autorce na słowo. Bo pozatem niemieckie nazwiska bohaterów i rozmówki na temat stosunków politycznych w „Hitlerji" — są mało przekonywające. Zresztą rozmówki te utrzymane są na poziomie normalnych konwersacyj *pur sang* warszawistów z Ipsu czy innej Ziemiańskiej. Wogóle odnosi się wrażenie, że z tą niemieckością w powieści pani Melcer sprawa się ma, jak z owym przysłowiowym śledziem, co to wisi w salonie, pomalowany na zielono i śpiewa... żeby trudniej było zgadnąć. S.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazało się w handlu księgarskim pierwsze kompletne wydanie dzieł Cyprjana Norwida, w opracowaniu prof. Tadeusza Piniego. Wydawcą tej cennej księgi jest spółka wydawnicza „Parnas Polski", która, jak wiadomo, rozpoczęła wydawać w drodze prenumeraty „Bibljotekę poetów polskich" i puściła już w świat dzieła Słowackiego oraz Krasińskiego. „Dzieła" Norwida zmieściły się na 648 stronach dwuszpaltowych ścisłego druku dużej ósemki. Znalazły się tutaj wszystkie utwory, odnalezione do r. 1934 (nawet ostatni, ogłoszony teraz w nr. 11 „Drogi" p. t. „Miłość czysta"). Samych drobnych utworów poetyckich Pini zebrał około 240. Wstęp krytyczny i biograficzny, napisany przez Piniego, zajmuje 48 stron. Księgę zdobi 40 ilustracyj, zaczerpniętych z teki rysowniczej Norwida. Wydanie staranne na dobrym papierze.

Mamy więc nareszcie całego Norwida (oprócz korespondencji) i to za cenę bardzo przystępną. Wielki tom bez oprawy kosztuje stałych prenumeratorów tylko 7.50 złotych, a poza prenumeratą zł. 8.80 (w ładnej oprawie 12.50 zł.). Norwida pisma, i to niekompletne, kosztowały dotąd przeszło sto złotych.

Wydawca Pini we wstępie do wydania „Dzieł" podał życiorys Norwida według najnowszych materjałów, nie powołując się nigdzie na źródła opracowań i wniosków, z których skorzystał. Życiorys jest realistyczny, rozwiewający legendę, którą w XX wieku wyznawcy koło Norwida wytworzyli. W surowej ocenie twórczości poety odmówił większości utworów wartości poetyckiej, przyznając zresztą Norwidowi talent.

Co do tekstów — zmodernizował pisownię, dał swoją interpunkcję i wyrazy obce oraz mniej popularne opatrzył szkolnemi objaśnieniami, nadając wydawnictwu charakter popularny. Dzieląc materjał na utwory drobne i resztę według rodzajów, nie trzymał się układu chronologicznego i nie dodał dat powstania utworów tam, gdzie ich sam autor nie postawił. Należało za to, zamiast skorowidza alfabetycznego na końcu, dać spis ich w rozgrupowaniu chronologicznem, przynajmniej przybliżonem.

*

Z dużym zainteresowaniem wziąłem do ręki książkę Jerzego Kurnatowskiego, noszącą interesujący tytuł „Współczesne idee społeczne" (Warszawa, 1933, str. 181). Dziś, w okresie powstawania nowych prądów społeczno-politycznych, w okresie tworzenia się nowych pojęć, zapoznanie się z prawdziwie współczesnemi ideami jest bardzo dla czytelnika cenne. Pod warunkiem oczywiście, że przedstawienie tych idej będzie jako tako objektywne.

Otóż tym wymaganiom nieodpowiada książka Kurnatowskiego. Pomija ona cały szereg idej, odgrywających dziś pierwszorzędną rolę. Pomija całkowicie poglądy społeczne, opierające się na encyklikach papieskich, a ideje nacjonalistyczne zacieśnia sztucznie do faszyzmu, który określa jako „*ersatz* solidaryzmu dla niedorozwiniętych narodów". Autor zapomina o tem, że w społeczeństwach, jego zdaniem, najkulturalniejszych, jak Francja i Anglja, widzimy Maurrasa i Chestertona oraz ich zwolenników. Całkowite milczenie zachowuje autor o ruchu hitlerowskim, o Spannie i jego szkole, o nacjonaliźmie włoskim i t. d. W tych warunkach nie zaspokaja książka odczuwanej przez społeczeństwo potrzeby zapoznania się ze współczesnemi ideami społecznemi, lecz przeciwnie jest źródłem bałamutnych i szkodliwych poglądów. (J. P.)

MUZYKA

ANKIETA „KWARTALNIKA MUZYCZNEGO"

NIEDOMAGANIA ubiegłego roku nie są niedomaganiami jednego tylko sezonu; objawy schorzenia mają wszelkie cechy zjawiska ogólnego, wybiegającego nawet poza ramy spraw, związanych wyłącznie z muzyką. Sygnalizują je nam ze wszystkich dziedzin sztuki, to pewna, że są przejawem ogólnego przełomu, ogarniającego życie. Dobrze więc, że próby naprawy nie ograniczają się do jakiegoś partackiego łatania dziur, ale usiłują dotrzeć do sedna rzeczy.

Zadanie takie obrał sobie za cel kwartalnik p. t. „Muzyka polska", o którego pojawieniu się zawiadomiliśmy czytelników we właściwym czasie. I jeśli można mówić o reakcji na to, powiedzmy już dosadnie, zło, które spotykamy na każdym kroku, będą już jej próbą owe dwa pierwsze numery wydawnictwa, które się pojawiły na rynku księgarskim.

Omówiwszy negatywną stronę zagadnienia, redakcja pisma rozpisała ankietę, w której, wśród odpowiadających, znalazł się szereg znanych w świecie muzycznym nazwisk. Należy gorąco polecić tym wszystkim, którzy nie przechodzą obojętnie obok spraw, związanych z kulturą i cywilizacją narodową, uważne przeczytanie nadesłanych odpowiedzi; znajdą tam wiele zastanawiającego materjału.

Jeśliby można było pokusić się o zsumowanie w kilku zdaniach ogromu poruszonych zagadnień, należałoby wymienić przedewszystkiem rozważaną niemal przez wszystkich kwestję elity i mas. Pierwsi nie bez słuszności zwracali uwagę, że wielka twórczość zawsze jest przejawem wybitnej jednostki, drudzy natomiast radziby swój temperament i entuzjazm przekazać jaknajszerszym masom. Praca taka bowiem, dawałyby korzyści podwójne: podnosiłaby poziom umuzykalnienia, kształciła i pozwalała na wyszukiwanie utalentowanych jednostek. Co jednak robić potem z taką jednostką? Sprawa pozostaje nadal otwarta i na ten temat ankieta powiedziała niewiele, a przecież zdajemy sobie wszyscy sprawę z niebezpieczeństwa, które stwarza w naszem życiu muzycznem brak atmosfery i wejście w to koło niedomagań, zastarzałych zwyczajów, przyzwyczajeń i wszystkich tych nawet dziwolągów, których dostarcza nasze życie muzyczne. Jakże przecież czemś innem jest np. słuchanie Chopina, a wejrzenie chociażby w drobny szczegół tego, co się w potocznym języku nazywa „stosunkami muzycznemi"... Gdybyż to była walka o ideje, gdyby jeden kierunek walczył z drugim, gdyby... ale co tu dużo mówić — tak przecież nie jest. Głos wołającego o należytą atmosferę wydaje mi się głosem, który najbardziej trzeba wziąć pod uwagę.

A teraz pytanie, jak ją wytworzyć? Pytanie niełatwe, może nawet jedno z najtrudniejszych. To pewna, że nie rozwikła zagadnienia żądanie planowej organizacji, będące jednem wielkiem nieporozumieniem. Posłuchajmy np. głosu, wysuwającego projekt jednego, centralnego „syndykatu" który „...opracowuje ogólny i szczegółowy plan umuzykalnienia najszerszych warstw, zajmie się ustaleniem metod do tego celu prowadzących i ustali działanie i funkcję, jaka przypadnie każdemu z nas w tym skomplikowanym mechanizmie". Otóż właśnie — mechanizmie. Czyż funkcja śrubki lub kółeczka nie jest już zbytnią redukcją np. indywidualności twórczej? Planowa akcja może dużo uczynić w zakresie szkolnictwa, popularyzacji muzyki, pracy nad zbieraniem bogactw muzyki ludowej i t. p., jeśli jednak chodzi o zagadnienie tworzenia, wątpię, ażeby cośkolwiek mogła zrobić. A jest ono jednem z najważniejszych. Cały splot dzisiejszej rzeczywistości komplikuje zagadnienie. Trzeba nielada odwagi cywilnej, ażeby z tem raz skończyć. Dać chociażby początek końca.

I wydaje mi się, że praca „Muzyki Polskiej” upoważnia nas do optymizmu. Świadczy o tem rzetelny stosunek do omawianych zagadnień i owa prawdziwa troska, którą się wyczuwa w każdym wierszu. Tylko pamiętać musimy, że niedomagań tych nie można traktować z osobna w oderwaniu od innych. Bo to są tylko przejawy jednego wielkiego zagadnienia. Zagadnienia przełomu dwu okresów, degeneracji jednego i początków drugiego. Pustki na koncercie są niewątpliwie dowodem obojętności. Pytanie jednak, czem tłumaczyć tę obojętność. Tkwienie w akademizmie, szukanie inwencji twórczej w dotychczasowym dorobku lub sięganie do zasobów muzyki ludowej jest niczem innem, jak wynikiem niemożności znalezienia własnego wyrazu, czy też wyrazu współczesności. I tu nowe pytanie, cały poprostu problem, czy ta współczesność wyraz ten posiada, czy wina nie leży przypadkiem po jej stronie?

Wszystko razem tworzy zadanie niełatwe do rozwiązania, zadanie które nawet, śmiem twierdzić, nie da się rozstrzygnąć całkowicie na jednym tylko odcinku. Praca podjęta nad uzdrowieniem spraw, związanych z muzyką, musi się udzielić i innym dziedzinom sztuki. Tylko bowiem zgodny, ogólny i głęboki wysiłek, stający się już zjawiskiem, może dokonać zmiany.

W inicjatywie „Muzyki Polskiej” pragniemy widzieć zapowiedź tego wysiłku. Czekamy oddźwięku. A czas już ostatni.

W. NARUSZ

ZMARLI

Ś. P. KS. EDWARD SZWEJNIC

ZGON ks. Edwarda Szwejnica, rektora kościoła akademickiego św. Anny w Warszawie, okrywa żałobą rzeszę młodzieży katolickiej wyższych szkół stolicy i w równym stopniu całe społeczeństwo polskie, które z wdzięcznością i podziwem patrzało na działalność wychowawczą tego niepospolitego kapłana. Potrafił on w środowisku warszawskiem, wśród młodszej inteligencji, gdzie doniedawna panował tradycyjny indeferentyzm religijny, obudzić ruch religijny, oparty na pogłębianiu świadomości katolicyzmu i konsekwencjach stąd płynących dla życia. Ks. Szwejnic sprawił, że kościół św. Anny nie był w stanie pomieścić młodzieży, wykonywającej praktyki religijne. W r. 1921 założył Stow. „*Juventus Christiana*“ (Warszawa, potem Poznań i Wilno), potem przy swym kościele — „Pomoc bliźniemu“, chór studencki „*Ambrosiana*“, wreszcie Związek Akademickich Stowarzyszeń Katolickich.

Znakomity pedagog (od młodości pracował jako prefekt), myśliciel, dobry mówca, płomienną wiarę swoją udzielał młodzieży, ta zaś darzyła go zaufaniem i miłością. Był jednym z tych nauczycieli, którzy rozumieją łączność psychiczną religji z patrjotyzmem i umieją wyciągnąć stąd wnioski.

Ś. p. ks. Szwejnic pochodził z Mińska Litewskiego. Urodził się tam w r. 1887 i tam wychowywał. Święcenia otrzymał w Petersburgu 1910 r. Pracował zrazu jako prefekt w Petersburgu, potem w Mińsku; po wojnie przybył do Warszawy.

Zmarł w sile wieku, otoczony czcią. Młodzież odniosła zwłoki na swych barkach na cmentarz Powązkowski wśród tłumów publiczności ze wszystkich sfer stolicy.

Ś. P. PIOTR MASZYŃSKI

DNIA 2 SIERPNIA zmarł ś. p. Piotr Maszyński, wybitny pedagog i kompozytor, jedna z najbardziej zasłużonych postaci na polu krzewienia kultury muzycznej w Polsce.

Urodzony w roku 1855 w Warszawie, pierwsze studja odbywał pod kierunkiem Zygmunta Noskowskiego, a następnie zagranicą, skąd wraca do kraju w r. 1876. Maszyński, powołany na stanowisko dyrektora świeżo założonej „Lutni“ stał się wkrótce jedną z najpopularniejszych w Warszawie postaci. „Lutnia” zdobyła jedno z najpierwszych miejsc w życiu towarzyskiem stolicy.

Ażeby zrozumieć pełnię zasługi Maszyńskiego na tej placówce, należy cofnąć się wstecz do tamtych mrocznych czasów. To był wysiłek, wybiegający daleko poza krąg zainteresowań wyłącznie muzycznych, a praca w całem słowa tego znaczeniu narodowa. Pieśń dzięki swej, już z natury, popularnej formie wciska się wszędzie, dociera niemal do każdego, nigdy jednak chyba nie można było zauważyć szybszego procesu przyswajania sobie przez najszersze masy prac, powstałych na warsztatach kompozytorów, nigdy nie stawały się one tak szybko własnością ogółu, jak wówczas.

Przykład ten wiele może nauczyć i dzisiaj, jeśli idzie o trud wyszukiwania drogi, prowadzącej do coraz to większago zasięgu umuzykalnienienia. Dodajmy teraz do tego znaczenie tej pieśni jako czynnika podtrzymującego polskość, a skromna, zdawałoby się, ciągnąca się całemi latami praca urośnie do właściwego rozmiaru, dając świadectwo rzetelnej zasłudze.

W roku 1892 zostaje Zmarły profesorem konserwatorjum muzycznego w Warszawie, w r. 1905 dyrektorem chóru archikatedralnego, który prowadził przez lat dziesięć.

Z prac jego wymienić należy: „Początki śpiewu“, „Ćwiczenia wstępne do nauki szkolnej śpiewu zbiorowego”, „Polski śpiewnik szkolny”, „Lirnik, zbiór chórów mieszanych bez wtóru”, następnie „Warjacje na kwartet smyczkowy”, „Nowe latko”, „Cykl pieśni salonowych do słów M. Konopnickiej”, „Kołysanka na kwintet smyczkowy”, „Kantata ku czci Szopena”, „Cyganie” na chór mieszany, „Jasełka” do słów M. Konopnickiej oraz poemat symfoniczny „Elegja”.

W lutym b. r. otrzymał państwową nagrodę muzyczną.

Ś. p. Piotr Maszyński był przykładem człowieka idei, której oddał wysiłek swojego życia.

Wzorowy obywatel, gorący patrjota, człowiek prawy — porywał serca wysoką kulturą i niezwykłym urokiem osobistym. Żałoba po ś. p. Maszyńskim okrywa szerokie kręgi społeczeństwa, a szczególnie te sfery, które umieją ocenić, jak bardzo tego typu ludzi społeczeństwo potrzebuje.

Pamięć po Nim na długo pozostanie.

B.

W ROZMÓWNICY

Redakcja „Myśli Narodowej” czyniąc zadość życzeniu p. Szałowicza, publikuje w tem miejscu list nadesłany przez niego. Radzi jesteśmy, że premjum nasze znalazło uznanie.

RED.

Będąc pod wrażeniem tylko co przeczytanej pięknej i głęboko przemyślanej książki p. Z. Wasilewskiego „Pieśń w górach” (za przysłanie której, jako premji dla stałego prenumeratora „Myśli Narodowej”. uprzejmie dziękuję), czuję nieodzowną potrzebę dać wyraz serdecznej wdzięczności dla autora za wzruszenia, jakich doznałem przy czytaniu. Pragnąłbym, aby to moje uznanie, uznanie skromnego, szarego człowieka, było opublikowane np. drogą listu otwartego. Książka ta winna się znaleść w ręku każdego Polaka, z którego duszy i serca codzienne brutalne zmaganie się z życiem i zwierzęca walka o byt materjalny nie wytrzebiły do dna poczucia narodowego i zdolności wsłuchiwania się w mistyczną muzykę przyrody. W czasach, kiedy utwory Boy-Żeleńskich, Kaden-Bandrowskich, Tuwimów i innych cieszą się oficjalnem poparciem sfer miarodajnych, kiedy młodzież nasza u progu do życia ma zaszczepiane deprawujące ją pierwiastki — „Pieśń w górach” tem goręcej winna być zalecana do uważnego, kontemplacyjnego czytania. Znajdzie tam każdy głębokie wyczucie poezji i piękna oraz nauczy się to piękno w przyrodzie podpatrywać. Zamieszczona w książce charakterystyka, świetnie i z talentem przedstawiona przez autora, tej świetlanej i spiżowej postaci Jana Pawlikowskiego, może służyć dla młodzieży naszej za wzór człowieka rozległej wiedzy i wzór obywatela.

Inż. ZENOBJUSZ SZAŁOWICZ

OFENSYWA

CANDIDE

NIE jest prawdą, że w publicystyce bez współpracy Semidów nie można sobie poradzić, natomiast jest prawdą, że w Paryżu wychodzi cały szereg tygodników narodowych, względnie nawet integralnie nacjonalistycznych, które bez sukursu piór Semidów cieszą się kolosalną wziętością.

W Anglji natomiast w tej dziedzinie zdarzyło się ostatnio, co następuje: Obok całego szeregu wspaniałych, solidnych miesięczników-przeglądów wychodziły tam już po wojnie także doskonałe tygodniki społeczno-polityczno-naukowo-literackie. Wyraźnie lewicowe, radykalno-liberalne, pacyfistyczne, pro-germańskie, a anty-polskie były cztery: *„The Nation"*, *„The Atheneum"*, *„The New Statesman"* i *„Week-End-Reviev"*. Otóż w tych tygodnikach współpracowało i rej wiodło dużo intelektualistów i klerków żydowskich, miejscami nawet Galicjan-*natives*. Szczególnie zajadły na Polaków był *New* czyli *„Jew-Statesman"*. Pomimo tego nasolenia i napieprzenia współpracą genjalnych i pikantnych żydów „światowych", tygodniki te zaczęły zwolna tracić popularność i podupadać. Wobec tego, praktykowanym w Anglji zwyczajem, połączyły się z sobą najpierw dwa (*„Week-End-Reviev"* i *„The New Statesman"*). Potem połączyły się z sobą *„The Nation"* i *„The Atheneum"*. I tak pojechały dalej. Ale i to nie pomagało. Wobec tego połączyła się pierwsza dwójka z drugą dwójką i teraz wychodzi tygodnik, mający w nagłówku cztery tytuły (nadal w t. zw. *„sixpence-typus"*), ale drukuje pono nie całe 50.000 egzemplarzy. Żydy lokalne i żydy wmieszkane (po grecku: *metoikoi*) nie wiele tedy pomogły.

Tymczasem zaś w Paryżu jeden tylko *„Candide"* doszedł pono do 50.000 egzemplarzy i to bez pomocy genjalnych meteków i nomadów. A nie jest on tylko jeden, bo w narodowym duchu i z patrjotycznie agresywnym programem redagowane są i *„1934"* i *„Vendemiaire"* i *„Gringoire"* i *„Je suis partout"* i kilka nowych, ściślej faszystowskich z *„Nouveau Cri"* i *„Cocq de France"* na czele. Wogóle ta tygodnikowa prasa rozrosła się tam w ostatnich trzech latach do wprost niebywałych rozmiarów, tak że obecnie lekko zagraża już w sensie swej dynamiki i autorytetu nawet prasie codziennej. Oczywiście *Anti-France* czyli *Levy*-ca, to jest masonerja, Trockiści, komuniści, Blumowcy mają także swoje reduty tygodniowe. Niektóre z nich można już nazwać potencjami. Rozrosły się, jako że czytane przez kosmopolitów wszystkich stolic, szczególnie *„Marianne"* i *„Cyrano"*, Tu przeważają same żydy. Jednem dyryguje bezczelny Berl drugiem puryc — Puterman, trzeciem — *„Vu"* Vogel, czwartem — *„Lu"* także jakiś genjalny szajgec. Współpracują streptokoki z Rumunji, Litwy, Łotwy, Turcji, Salonik, Czerniowiec, z pod Kijowa, z pod Kowna. Co drugie nazwisko niemieckie albo pseudonimy rosyjskie, rumuńskie. Niektóre z tych tygodników wprost śmierdzą mykwą (*Marjanne*) albo śledziami (*Cyrano*). Wszystkie namawiają Francuzów do rewolucji lub podjudzają do wojny z Niemcami, a równocześnie *camouflage* pacyfistyczny. Co drugi miesiąc dają rewelacje „autentyczne" o zbrojeniach niemieckich, za co żydwydawca dostaje specjalne łapówki od Creuzotów lub Armstrongów. Dużo materjału denuncjatorskiego dostarczają tej szumowinie z całej Europy zbiegowie-emigranci z Niemiec *(refugiés)*, byli współpracownicy berlińskich firm Mosse i Ullstein.

Dzięki szantażowaniu inseratowemu wielkiego przemysłu, żydłaki, zasmarowujące od góry do dołu *„Marianne"* i *„Cyrano"* i *„Voilà"* i *„Vu"* płatne są sowicie, żyją dostatnio i zgodnemi wysiłkami pchają Francję ku przepaści wojny domowej. Głównemi asami tych wytwórni kokainy intelektualnej są Herzog („Maurois") niby prawicowiec, Emil Ludwig (Cohn) prawicowiec, Tristan (*sic*) Bernard prawicowiec, Kessel „Rosjanin", prawicowiec, Asch, Basch, Bloch, Benda, Guchenno, Natanson, Warszawski, Poznański, Krakowski i stu innych. I *„Marianne"* i *„Cyrano"* są na usługach Trockiego, bronią także Stawiskiego i jego gangsterów, gangsteinów i gangsternów. *„Monde"* Barbusse'a jest jawnie komunistyczny i dlatego uczciwszy. Tamte pisma cieszą się na razie olbrzymią wziętością aż do jesieni, w której wedle wszelkiego prawdopodobieństwa cała ta bezkarnie rozwielmożniona, rozbuchana, najezdnicza „swołocz" (*Graeculi* w Rzymie Galby i Viteliusa) spędzona na podwórza kasarń, nad cembrowania Sekwany i na Place de la Concorde ulegnie swemu losowi.

Nie mniej przeto zatajać nie należy, że te tygodniki pansemickie redagowane są *con forsa*, *cum studio*, *cum ira*, z pasją, z żarliwością i świetnie.

Narodowe atoli także. Widocznie wzięły przykład z tamtych. Dość, że ani jedno nie śmierdzi paczulą czy prowincją, tabaką czy parafjańszczyzną, belferstwem, apteką, strychami i hemoroidami. Czy wziąć do ręki *„Candide"* czy *„Vendemiare"* ma się do czynienia z Europejczykami, orjentującymi się w całym globie, co i jak. Poznać zaraz, że tem kierują ludzie także nowocześni, solidnie wykształceni, językami obcemi mówiący, oczytani w zagranicznej literaturze i prasie. Nawet ortodoksyjnie katolickie perjodyki czy takie jak *„La Vie Intellectuelle"*, jak *„Esprit"* czy małe efemerydki faszystowskie, wszystkie one pulsują temperamentem, odzwierciadlają życie dosłownie (nie bibulasto!) i szanując i warując tradycji starają się o aktualność, o przystępność, o popularność, o ekspansję, o czytelnika. Nie kontentują się emerytami, a idą naprzeciw młodych i najmłodszych, zawsze *contemporains*. Materjału zaś informacyjnego i dyskusyjnego przynoszą w każdym zeszycie swym tyle, że starczy nie tylko dla francuskich odbiorców, ale że rżnie z nich, wycina i tłumaczy cała prasa europejska i światowa, no i nieświatowa warszawska. Tak *„Candide"* jak *„Vendémiaire"* jak *„1934"*, jak *„Partout"* nawet formatem i formą typograficzną, jak zresztą i ilustracjami i karykaturami i drukowaniem *„short - stoies"* (nowelek) upodobniły się do konkurencyjnych (i destrukcyjnych) tygodników *„L'Antifrance"*, w niczem nie przypominają antycznych wydawnictw z wieku XIX i w ten sposób „dotrzymują planu", walczą, zwalczają *„l'infâme"*. grają wielką i ważną rolę na arenie publicystycznej, no i o ile nie zwyciężają odrazu, to w każdym razie mężnie, wysoko i widocznie niosą sztandar narodowy. I z tych powodów, przy takich przesłankach i predyspozycjach, choć jest tygodników takich kilka, względnie kilkanaście, dochodzą w nakładach do cyfr imponujących. Nawet taki *„Gringoire"* Carbuccia (zięcia Chiappego) bije pono przeszło 20.000! No, ale też co się człowiek nakształci, nauczy, nadowiaduje z jednego numeru takiego *„Candide"*! Symplisty, prymitywy, pierniki potem aż gęby rozdziawiają: skąd on to wie?...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Zjazd Polaków zagranicznych stał się wielką manifestacją uczuć narodowych na rzecz idei Wielkiej Polski. Żydki sanacyjne bardzo tem są zgorszone.

— Coś podobnego! To ma być współpraca z Państwem? Taki szowinizm, taki antysemityzm?

W łonie żydostwa powstała podobno myśl zrobienia nacisku, aby urządzony był w ten sam sposób Zlot (koniecznie „zlot") do Warszawy żydów zagranicznych.

Może lepiej do Poznania?

•

Żydzi udają naiwnych. Syjonistyczny „Nasz Przegląd", polemizując z prasą narodową, żali się że

> „przy każdej kwestji, gdzie chodzi o zatrudnienie dla żydów, Endecja wynajduje inną przeszkodę pod kątem nacjonalistycznym: handel musi być wytrącony z rąk żydowskich, bo to „nieprodukcyjne pośrednictwo", rzemiosło musi spoczywać w ręku rdzennych, bo się łączy z tradycją cechów religijnych, ziemia ma także wyjątkowe znaczenie dla polskości. Czem więc żydzi mają się zajmować, aby Endecja była zadowolona?"

„Czem się mają zajmować?" — pyta „Nasz Przegląd". Poprostu mają wyprowadzić się z Polski, bo Polacy są już takim dziwnym narodem, że potrafią świetnie sami się obsłużyć, i bardzo lubią być we własnym domu, bez współlokatora, u siebie...

A taki przytem mają osobliwy sposób myślenia, że żaden Polak nie zapytuje nigdy syjonistów: „Czem my Polacy, mielibyśmy zajmować się na terytorjum Palestyny, jaką gałęź życia gospodarczego wydzierać w Tel-Awiwie z rąk żydowskich?"

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM